

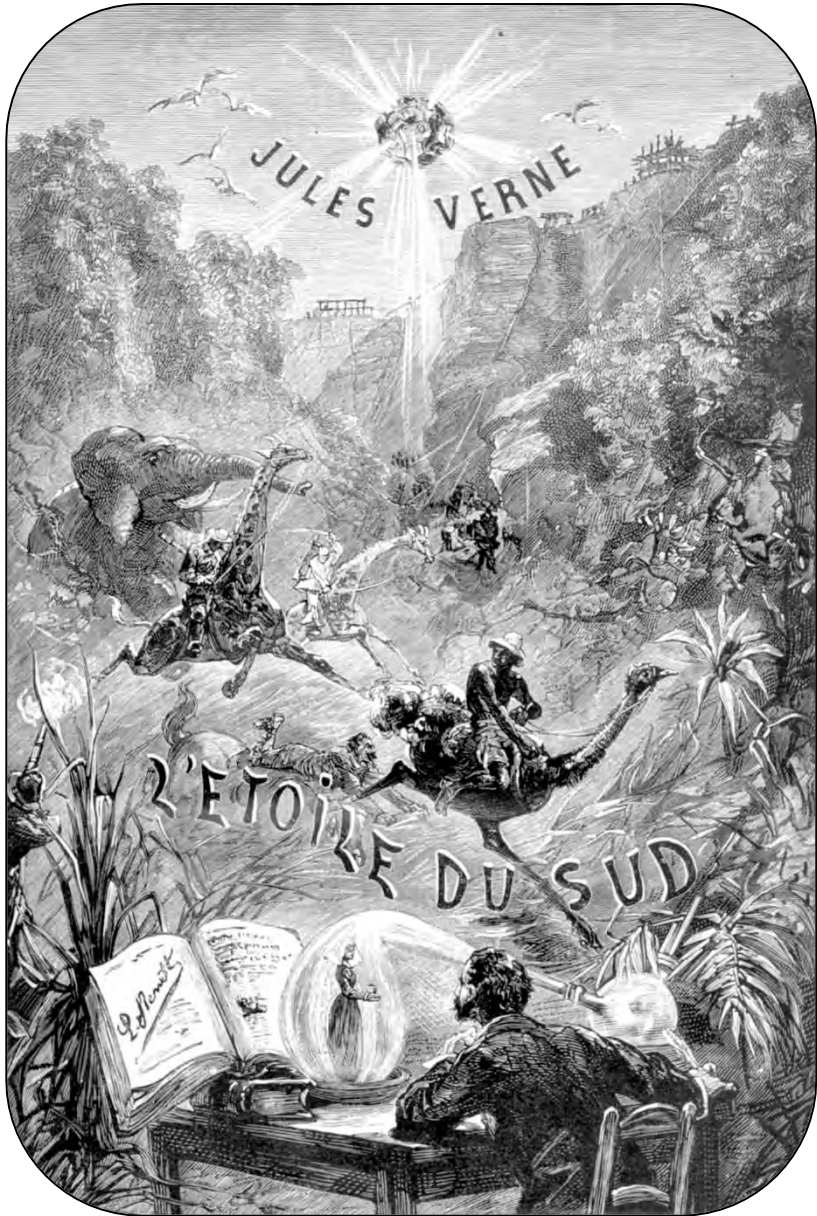


Juliusz Verne

Gwiazda Południa



ISBN 978-83-66980-66-2



Juliusz Verne

GWIAZDA POŁUDNIA

Juliusz Verne



GWIAZDA POŁUDNIA

Przełożyła Iwona Janczy

**Sto trzynasta publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego:
L'Étoile du Sud

© Copyright for the Polish translation
by Iwona Janczy, 2023

62 ilustracje, w tym 8 kart tablicowych kolorowych; 1 mapka:
Léon Benett; (zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania
francuskiego)

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Przypisy Iwona Janczy, Andrzej Zydorczak

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

Wydanie I

© Wydawca: JAMAKASZ

Ruda Śląska 2023

ISBN 978-83-66980-66-2

Wstęp

Powieść, którą trzymają Państwo w rękach, jest jednym z kilku dzieł sygnowanych nazwiskiem autora „Niezwyczajnych Podróży”, które nie są jego autorstwa, w każdym razie nie w stu procentach. *Gwiazdę Południa* napisał Paschal Grousset (1844-1909) – jeden z przywódców Komuny Paryskiej, zesłaniec, pisarz, tłumacz i dziennikarz. Znany jest on szerzej jako André Laurie – pod takim pseudonimem publikował swe utwory w wydawnictwie Hetzela. Gdy szacowny paryski nakładca w otrzymanym rękopisie dostrzegł cechy charakterystyczne dla prozy Juliusza Verne’a, postanowił wydać go pod gwarantującą większy rozgłos i zyski marką. Zapłacił Groussetowi 200 franków i wysłał tekst do Amiens. Verne wziął go na warsztat i dodał doń informacje z zakresu fauny, flory, mineralogii i techniki, pozmieniał to i owo w fabule, m.in. rozwinął wątek rzekomo sztucznego diamentu, tytułowej Gwiazdy Południa, który jest centralnym punktem całej opowieści, usunął różne nieprawdopodobieństwa – i po tych przeróbkach identyfikował się z powieścią jak z własną. Podobnie było w przypadku dwóch innych utworów Lauriego, których „współproducentem” został Czarodziej z Nantes – *Pięćset milionów begum* oraz *Rozbitka z „Cynthii”*, przy czym w tym ostatnim przypadku Laurie trafił przynajmniej na okładkę jak współautor.

Osadzona w scenerii południowoafrykańskiego Transwału, regionie licznych kopalni diamentów, powieść ukazywała się, jak wiele innych utworów Verne’a, w odcinkach na łamach „Magasin d’Éducation et Récréation” (od początku stycznia do połowy grudnia 1884 r.). W formie książkowej wyszła w listopadzie tego samego roku – jednocześnie w wydaniu popularnym, jak i okazałej edycji z 60 ilustracjami Léona Benetta. Równolegle zamieszczona została w tomie podwójnym, razem z *Archipelagiem w ogniu*.

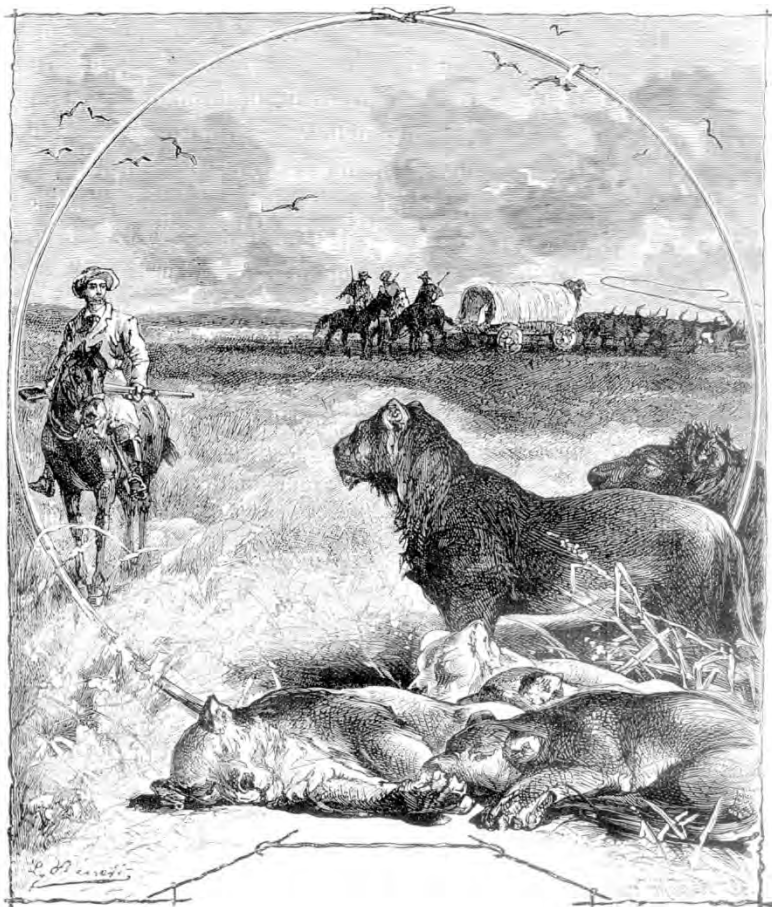
Polscy czytelnicy na pierwszy przekład „Gwiazdy Południa”, mocno zresztą niedoskonały, opracowany przez kogoś o inicjałach R.G., musieli czekać jedenaście lat. Powieść ukazała się nakładem

Księgarni Juliana Guranowskiego, w dwóch wersjach okładek. W tym samym tłumaczeniu wyszła w 1909 i 1919 r. u Gebethnera i Wolffa. Później spolszczył ją Zbigniew Zamorski i w tej wersji w 1931 r. wydała ją najpierw Księgarnia Jakuba Przeworskiego, a potem Biblioteka Najciekawszych Powieści i Podróży – ta ostatnia nawet dwa razy, w dodatku w drugiej edycji w dwóch wariantach okładek.

Po wojnie *Gwiazda Południa*, jak wiele innych powieści Verne’a, opublikowana została przez „Naszą Księgarnię” – w 1957 i 1974 roku. Wydawnictwo to zleciło opracowanie nowego przekładu Annie Iwaskiewicz, pisarce i żonie wybitnego literata. Wywiązała się ona z powierzonego zadania solidnie, aczkolwiek tak jak poprzednicy dokonała licznych skrótów w stosunku do oryginału. W porównaniu z niniejszym tłumaczeniem Iwony Janczy jej tekst był mniej więcej o jedną trzecią krótszy, a i tak był lepszy od wersji przedwojennych, na których oparte zostały dwie ostatnie edycje – z 1995 r. (Wydawnictwo Translator) i 2016 r. (Hachette Polska).

Pogoń za zyskiem (stare przekłady wolne są od praw autorskich) nie usprawiedliwia ingerencji w tekst literacki, który jest integralnym utworem i jako taki powinien być udostępniany czytelnikom bez nieuprawnionych cięć. To, co kogoś nuży (tak niektórzy argumentują skracanie dawnych powieści, pełnych przysłowiowych opisów przyrody), innych może fascynować, a co najmniej ciekawić. Celem „Biblioteki Andrzeja” jest umożliwienie miłośnikom twórczości Juliusza Verne’a poznania jego dorobku w całej jego rozciągłości. Do wcześniej opublikowanych w tej serii tytułów dołącza teraz *Gwiazda Południa*.

dr Krzysztof Czubaszek
Prezes Polskiego Towarzystwa Juliusza Verne’a



Rozdział I

Ach! Niestłuchani są ci Francuzi!

Proszę mówić, słucham pana.

– Panie, mam zaszczyt prosić o rękę pańskiej córki, miss¹ Watkins...

– Rękę Alice?

¹ *Miss* (ang.) – panienka, panna, dziewczynka.

– Tak, panie. Być może moja prośba pana dziwi, ale proszę wybaczyć, jeśli nie rozumiem, dlaczego uważa ją pan za coś nadzwyczajnego. Mam dwadzieścia sześć lat, nazywam się Cyprien Méré. Jestem inżynierem górnictwa, a Szkołę Politechniczną¹ ukończyłem z drugą lokatą. Moja rodzina, choć nie bardzo bogata, jest szanowana i uczciwa. Pan konsul francuski z Kolonii Przylądkowej² może to poświadczyć, jeśli tylko sobie pan zażyczy, tak samo jak i mój przyjaciel Pharamond Barths, nieustraszony myśliwy, dobrze panu znany, podobnie jak wszystkim w Griqualandzie³. Znalazłem się tutaj wysłany w misji naukowej przez Francuską Akademię Nauk⁴ i rząd mojego kraju. W ubiegłym roku w Instytucie Francuskim otrzymałem

¹ *Szkoła Politechniczna* (fr. *École polytechnique*) – wyższa uczelnia powstała w roku 1794 w Palaiseau pod Paryżem, od 1804 wojskowa, z siedzibą w Paryżu, od roku 1970 cywilna, w 2008 wraz z kilkoma innymi uczelniami przekształcona w Uniwersytet Paris-Saclay, kształciła głównie inżynierów wojskowych; inżynierów dróg i mostów kształcono głównie w *École nationale des ponts et chaussées*, wyższej uczelni założonej w roku 1747, wysoce cenionej, istnieje nadal.

² *Kolonia Przylądkowa* – brytyjska kolonia (wcześniej holenderska nazywająca się Cape, czyli Przylądek – i takiej nazwy używa J. Verne) w południowej Afryce, istniejąca z przerwą w latach 1806-1910; po czym zmieniono jej nazwę na Kraj Przylądkowy, gdy utworzono brytyjskie dominium Związek Południowej Afryki.

³ Griqualand West – obszar w środkowej Afryce Południowej o powierzchni 40 tys. km², obecnie stanowiący część prowincji Northern Cape; był zamieszkiwany przez lud Griqua – półkoczowniczy, mówiący w języku afrikaans naród mieszanej rasy, który założył kilka stanów poza rozszerzającą się granicą Kolonii Przylądkowej.

⁴ *Francuska Akademia Nauk* – stowarzyszenie uczonych założone w roku 1666 przez króla Ludwika XIV w celu wspierania nauk, obecnie jest częścią Instytutu Francuskiego (Institut de France), skupiającego najznakomitszych francuskich uczonych i artystów, który powstał w roku 1795 z powołanych na nowo do życia pięciu akademii, zniesionych na początku wielkiej rewolucji; corocznie Instytut udziela nagród ludziom zasłużonym na polu nauki, literatury i sztuki.

nagrodę Houdarta za pracę na temat składu chemicznego skał wulkanicznych w Owernii¹. Z kolei moje prawie już ukończone opracowanie na temat zagłębia diamentowego w dorzeczu rzeki Vaal² również może liczyć na dobre przyjęcie przez świat naukowy. Po powrocie będę mianowany profesorem w Szkole Górniczej³ w Paryżu, zaklepałem już sobie nawet mieszkanie przy ulicy de l'Université⁴ pod numerem 104, na trzecim piętrze. Od pierwszego stycznia przyszedłego roku moje pobory wzrosną do czterech tysięcy ósmuset franków, wiem... to nie są żadne kokosy, ale z dodatkowej pracy – z ekspertyz, nagród akademickich, współpracy z czasopismami naukowymi – będę miał drugie tyle. Dodam jeszcze, że mam bardzo skromne wymagania i nie trzeba mi wiele do szczęścia. Tak więc mam zaszczyt prosić pana o rękę jego córki, panny Watkins...

Już sam stanowczy i zdecydowany ton tej związanej przemowy pozwalał się zorientować, że Cyprien Méré zwykł był przechodzić od razu do rzeczy i mówić szczerze, bez żadnych ogródek.

¹ *Owernia* – historyczna kraina w środkowej Francji, w Masywie Centralnym, ze stolicą w Clermont-Ferrand, słabo zaludniona, najbiedniejsza we Francji.

² *Vaal* – rzeka w RPA o długości 1120 km, najdłuższy prawy dopływ Oranje; źródła w Hoogevelde w Górach Smocznych; ujście do Oranje w okolicy miasta Douglas.

³ *Szkola Górnicza* (École nationale supérieure des mines de Paris, w skrócie École des mines de Paris lub Mines Paris) – uczelnia założona w 1783 roku na mocy ordonansu króla Ludwika XVI w celu kształcenia zarządców kopalń królewskich; jedna z prestiżowych francuskich uczelni technicznych; wchodzi w skład Paryskiego Instytutu Nauk i Technologii; w chwili jej założenia eksploatacja kopalń była przedsięwzięciem technologicznym, pojawiały się jednak także problemy dotyczące bezpieczeństwa górników, zarządzania gospodarczego oraz kwestie geopolityczne; kierunki kształcenia w Szkole były zatem zróżnicowane, przez co uczelnia przekształcała się z biegiem czasu w jednostkę interdyscyplinarną.

⁴ *Ulica de l'Université* – ulica w 7. okręgu Paryża, biegnąca równoległe do Sekwany w odległości kilkuset metrów.

Wrażenie wywołane tym sposobem mówienia potwierdzał także jego wygląd. Był to jeden z tych młodzieńców nieustannie zajętych sprawami najwyższej naukowej rangi, niepoświęcających się takim bagatelkom jak życie towarzyskie więcej czasu, niż wymagało tego konieczne minimum.

Jego brązowe włosy przystrzyżone na jeża, blond broda, również wygolona prawie do skóry, proste ubranie podróżne z szarego płótna, dość tani słomkowy kapelusz za dziesięć sou¹, który zaraz po wejściu grzecznie położył na krześle – choć jego rozmówca pozostał w nakryciu głowy z arogancją typową dla rasy anglosaskiej – wszystko to świadczyło, że Cyprien Méré posiadał poważny umysł, a jego jasne, szczerze spojrzenie oznaczało czyste serce i prawe sumienie.

Należy jeszcze dodać, że ten młody Francuzik mówił doskonałą angielszczyzną, zupełnie jakby przez całe lata mieszkał w sercu najbardziej angielskich hrabstw Zjednoczonego Królestwa².

Pan Watkins słuchał go, siedząc w drewnianym fotelu i paląc fajkę o długim cybuchu. Lewą nogę trzymał wyciągniętą wygodnie na wyplatanej słomą taborecie, a łokieć wsparł na prostym stole, gdzie stały na podorędziu dzbanek z dżinem³ i szklanka do połowy napełniona tym mocnym trunkiem.

Osobnik ten miał na sobie białe spodnie, marynarkę z surowego granatowego płótna i żółtawą flanelową koszulę, pozba-

¹ *Sou* (sol, solid) – zdawkowa moneta francuska, 1/20 franka, odpowiadająca ówczesnym polskim 3 groszom.

² *Zjednoczone Królestwo* (ang. *United Kingdom*) – nazwa Wielkiej Brytanii stosowana od roku 1707, kiedy Akt Unii ustanowił zjednoczenie Królestwa Anglii i Królestwa Szkocji, pełna nazwa: Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii (*United Kingdom of Great Britain*).

³ *Dżin* – wódka gatunkowa o smaku i zapachu jałowcowym, popularna w Anglii.

wioną kamizelki lub nawet krawata. Spod szerokiego filcowego ronda kapelusza, który wyglądał, jakby został na stałe przysrubowany do siwej głowy, wyłaniała się czerwona, okrągła i napuchnięta twarz, sprawiająca wrażenie, jakby została napompowana muszem porzeczkowym. Fizis tę, niezbyt miłą dla oka, porastały na brodzie kępki sztywnych włosów w kolorze perzu, a powyżej na świat spoglądały małe, przenikliwe oczka, które bynajmniej nie emanowały wyrozumiałością ani dobrocią.

Trzeba od razu powiedzieć – w obronie pana Watkinsa – że strasznie cierpiał na podagrę¹, co właśnie zmuszało go do trzymania lewej stopy wyżej, owiniętej w płócienny opatrunek, gdyż podagra – w Afryce Południowej zupełnie tak samo jak w innych krajach – bynajmniej nie sprzyja złagodzeniu usposobienia osób, w których stawy się wpija.

Scena ta miała miejsce na parterze w domu pana Watkinsa na jego farmie, położonej około dwudziestego dziewiątego stopnia szerokości geograficznej na południe od równika i dwudziestego drugiego stopnia długości geograficznej na wschód od południka paryskiego, na samej zachodniej granicy Wolnego Państwa Orania², na północ od brytyjskiej Kolonii Przylądkowej, w samym sercu Afryki Południowej lub inaczej anglo-holenderskiej. Ziemie te leżą na prawym brzegu rzeki Oranje³, od południa zaś ich granicę stanowi wielka pustynia Kalaha-

¹ *Podagra* (dna moczanowa) – choroba charakteryzująca się pogrubieniem stawu dużego palca u nogi i ograniczeniem jego ruchów oraz napadowymi bólami i obrzękiem w okresach zaostrzeń.

² *Wolne Państwo Orania* (niderl. Oranje Vrijstaat, ang. Orange Free State) – niepodległe państwo burskie istniejące w latach 1854-1902, początkowo pod nazwą Transorania.

³ *Oranje* (Orange, ang. Orange River, Rzeka Pomarańczowa) – rzeka w Afryce, płynąca przez terytorium Lesotho, Republiki Południowej Afryki i Namibii, długość 1860 km; źródła w Górach Smocznych; uchodzi do Oceanu Atlantyckiego.

ri¹. Na starych mapach kraina ta nosi nazwę Griquas, a od około dziesięciu lat nazywana jest poprawnie Diamonds Field, czyli Diamentowe Pole.

Salon, w którym odbyła się ta nader dyplomatyczna rozmowa, odznaczał się tyleż niezwykłym luksusem niektórych sprzętów, co równocześnie rażącym ubóstwem innych szczegółów wnętrza. Na przykład podłoga była ordynarnym klepiskiem z ubitej ziemi, za to miejscami zaścielały je grube dywany i cenne skóry zwierząt. Na gołych ścianach, które nigdy nie zaznały jakiegokolwiek tapety, wisały na ten przykład: wspaniałe, wykonane z pięknie cyzelowanej² miedzi zegar, kosztowna broń o różnym pochodzeniu, angielskie kolorowe sztychy oprawione w ozdobne ramy. Obok prostego stołu z surowego drewna, w najlepszym razie odpowiedniego do kuchni, stała kryta wełnem³ sofa. Fotele, przywiezione prosto z Europy, na próżno wyciągały swoje poręcze do pana Watkina, który wolał stare drewniane krzesło, wyciosane przed laty własnymi rękami. W sumie to nagromadzenie kosztownych przedmiotów, a zwłaszcza masa porzucanych po wszystkich meblach skór – żyraf, panter, lampartów i innych wielkich kotów – nadawało pomieszczeniu klimat barbarzyńskiego przepychu.

Po ukształtowaniu stropu widać było od razu, że dom nie miał wyższych kondygnacji i składał się jedynie z parteru. Jak wszystkie konstrukcje w tym kraju, zbudowano go częściowo z desek,

¹ *Kalahari* – pustynia w południowo-zachodniej części kotliny Kalahari, rozciągająca się wzdłuż wschodnich stoków wyżyny Nama, na pograniczu Botswany, Namibii i RPA; zajmuje pagórkowate tereny, silnie rozcięte uedami; w części południowej płaska równina z wydiami dochodzącymi do 100 m wysokości.

² *Cyzelowanie* – gładzenie i wykańczanie metalowych odlewów rzeźb i wyrobów rzemiosła artystycznego oraz kutych wyrobów złotniczych; potocznie: drobiazgowo, perfekcyjnie opracowywanie lub wykańczanie czegoś.

³ *Welur* – miękka tkanina wełniana podobna do aksamitu lub specjalnie garbowana skóra jagniąt, owiec albo kóz.

a częściowo wylepiono z gliny, pokryto zaś płatami żłobkowanej blachy cynkowej, przymocowanej do lekkiego dachowego wiązania.

Zresztą widoczne było, że mieszkanie to zostało niedawno ukończone. Rzeczywiście, wystarczyło się tylko wychylić przez jedno z okien, aby dostrzec po prawej i lewej stronie pięć lub sześć opuszczonych chat – wszystkie w tym samym mniej więcej stylu, choć w różnym wieku i w coraz bardziej zaawansowanym stanie ruiny. Były to domy, które pan Watkins przez kolejne lata budował, zamieszkiwał, a potem porzucał, by przenieść się do następnego o wyższym standardzie zgodnym z poziomem jego nieustannie powiększającego się majątku, można by powiedzieć, że kolejne budynki stanowiły widomy znak kolejnych szczebli drabiny społecznej.

Najdalsza z budowli była czymś w rodzaju szałasów pokrytego darnią i nie zasługiwała nawet na miano chaty. Następna była z gliny, trzecia z gliny, ale oszalowanej deskami, czwarta z gliny i arkuszy blachy cynkowej... Tak więc ta wzrostowa tendencja w zamożności kolejnych domostw odzwierciedlała koleje losu pana Watkina.

Wszystkie te budynki, mniej lub bardziej zniszczone, stały na wzniesieniu położonym w pobliżu zbiegu rzek Vaal i Modder¹, dwóch głównych dopływów rzeki Oranje w tej części Afryki południowej. Wokół jak tylko okiem sięgnąć rozciągała się na południowy zachód i północ naga i smutna równina, zwana w tutejszych okolicach Weldem². Tworzy ją czerwonawa, sucha,

¹ *Modder* – rzeka w RPA, dopływ rzeki Riet (dopływ Vaal), która stanowi część granicy między Przylądkiem Północnym a prowincjami Wolnego Państwa; brzegi rzeki były miejscem ciężkich walk na początku drugiej wojny burskiej w bitwie pod Modder River.

² *Weld* (Wyżyna Weldów) – wyżyna w Afryce Południowej, na terytorium RPA, Lesotho i Eswatini (Suazi); na południowy wschód od kotliny Kala-

pylista i jałowa gleba, z rzadka pokryta ubogą trawą i nielicznymi kępami ciernistych krzewów. Swego rodzaju znakiem rozpoznawczym tej przygnębiającej okolicy jest całkowity brak drzew. Dlatego też, biorąc pod uwagę, że nie ma tu węgla ani innego paliwa, a komunikacja z morskim wybrzeżem należy do niezwykle powolnych i najeżonych trudnościami, nie należy się dziwić, że brakuje opału i że na co dzień na użytek domowy mieszkańcy spalają zwierzęce odchody.

Na tym to monotonnym tle nieomal opłakanego krajobrazu toczy się niemrawo nurt obu rzek, jednak o tak płaskich i tak niezdecydowanych brzegach, że aż dziw, iż ich wody nie wylewają się na całą równinę.

Jedynie od wschodu horyzont przecinają odległe łańcuchy dwóch górskich masywów – Platberg i Paardeberg, u podnóża których bystry wzrok może rozróżnić smużki dymów, wznoszący się kurz i małe białe kropeczki, które nie są niczym innym jak barakami lub namiotami, wokół nich uwija się rój ludzkich istot.

Tam właśnie, w owym Weldzie, znajdują się eksploatowane diamentonośne placery¹, najbardziej znane kopalnie: Du Toit's Pan², New Rush³ i być może najbogatsza ze wszystkich – Van-

hari dzieli się na 3 części: Niski Weld na północnym zachodzie, Średni Weld i Wysoki Weld na południowym wschodzie; przy podziale Wyżyny Weldów na regiony wyróżnia się często odrębną część północno-wschodnią, położoną na obszarze Transwału, określając ją jako Bushevald.

¹ *Placer* – złoża okrucowe, termin stosowany zwłaszcza do bogatych złóż okrucowych złota, ale także diamentów, granatów, żelaza, rubinów czy szafirów.

² *Du Toit's Pan* (obecnie Dutoitspan) – jeden z najwcześniejszych obozów (i kopalnia) wydobywania diamentów w obecnym rejonie Kimberley, Republika Południowej Afryki.

³ *New Rush* – wioska w pobliżu niewielkiego wzgórza (Wielka Dziura), na którym w 1871 roku odkryto trzy diamenty (przemianowana później na Kimberley).

dergaart Kopje¹. Te kopalnie odkrywkowe pod gołym niebem, określane ogólną nazwą *dry diggings*, czyli *suche kopalnie*, od 1870 roku przyniosły dochód w wysokości blisko czterystu milionów w diamentach i innych cennych kamieniach. Wszystkie są skupione na przestrzeni o promieniu nie większym niż dwa lub trzy kilometry, a z okien farmy pana Watkina, położonej jakies cztery mile angielskie² dalej, widać je było doskonale przez lornetkę.

Nawiasem mówiąc, wyraz *farma* nie jest całkiem właściwy na określenie posiadłości pana Watkina, gdyż w pobliżu nie było nawet śladu żadnych upraw. Jak wszyscy tak zwani farmerzy w tym rejonie Afryki Południowej, był on bowiem bardziej pasterzem, a dokładniej właścicielem stad krów, kóz i owiec niż faktycznym kierownikiem gospodarstwa rolnego.

Tymczasem pan Watkins nadal nie odpowiedział na prośbę tak uprzejmie, ale zarazem tak dobitnie wyrażoną przez Cypriena Méré. Po co najmniej trzech długich minutach głębokiego namysłu zdecydował się w końcu wyciągnąć fajkę z kącika ust i wygłosić opinię, która zdecydowanie miała bardzo odległy związek z postawionym mu pytaniem:

– Zdaje się, że idzie na zmianę pogody, mój drogi panie! Jeszcze nigdy podagra nie dała mi się tak we znaki jak dzisiejszego poranka!

Młody inżynier zmarszczył brwi i odwrócił na moment głowę, z całych sił starając się ukryć głębokie rozczarowanie.

¹ *Kopje* – holenderskie słowo oznaczające „małą głowę”, w języku afrykańskim: *koppie*, w języku polskim twardzielec; forma ukształtowania powierzchni ziemi, odosobnione wzgórze zbudowane ze skał twardszych (tzn. odporniejszych na procesy niszczące powierzchnię ziemi) niż skały je otaczające; tu w znaczeniu kopalni diamentów istniejącej na takim wzgórzu.

² *Mila angielska* – mila lądowa o długości 1609 m [przyp. J. Verne’a].

– Może dobrze by było, gdyby zrezygnował pan z dżinu, panie Watkins! – zauważył sucho, wskazując na kamionkowy dzban, szybko opróżniany z zawartości.

– Zrezygnować z dżinu?! Na Jowisza¹! A to dopiero! – wykrzyknął farmer. – Czy dżin kiedyś zaszkodził uczciwemu człowiekowi...? Tak, tak, wiem, co chcesz pan powiedzieć...! Zaraz mi tu zacytujesz poradę, jakiej pewien lekarz udzielił lordowi merowi² cierpiącemu na podagrę! Jak on się nazywał? Abernethy³, jak mi się zdaje! „Chce pan być zdrowy? – zapytał swego pacjenta – a więc niech pan żyje za szylinga dziennie, i to jeszcze przez siebie zarobione!”. Bardzo to ładnie i pięknie! Ale na naszą staruszkę Anglię, jeśli dla zdrowia trzeba żyć za szylinga dziennie, to po kiego licha dorabiać się fortuny...? Wszystko to głupstwa, panie Méré, głupstwa niegodne tak mądrego człowieka jak pan... Proszę więc już więcej o tym nie wspominać, bardzo pana proszę! Co do mnie, widzi pan, wolałbym już zejść z tego padolu...! Dobrze zjeść, dobrze wypić, zapalić fajeczkę, kiedy mi przyjdzie ochota; nie mam żadnych innych przyjemności. Pan chciałby, żebym to wszystko porzucił?

– Ależ wcale tak nie myślałem! – odparł szczerze Cyprien. – Przypominam tylko panu o zasadach zachowania dobrego zdrowia, które uważam za nader słuszne! Ale dajmy temu spokój, panie Watkins, i z pańskim pozwoleniem powróćmy do przedmiotu mojej wizyty.

¹ *Jowisz* (Jupiter) – w mitologii rzymskiej bóg nieba, burzy i deszczu, najwyższy władca nieba i ziemi, ojciec bogów; utożsamiany z greckim Zeusem, z czasem przejął jego cechy; atrybutami Jowisza były piorun i orzeł.

² *Lord mer* – burmistrz w wielkich miastach Zjednoczonego Królestwa.

³ *John Abernethy* (1764-1831) – angielski chirurg, anatom, wnuk Johna Abernethego – duchownego; niezwykle popularny jako wykładowca w Szkole Medycznej im. Św. Bartłomieja, przyciągał na swoje wykłady liczne rzesze studentów; natomiast w działalności zawodowej często arogancki, traktował swoich pacjentów z wyższością.



W tym momencie otworzy się drzwi i do pokoju weszła młoda dziewczyna z tacą, na której stała jedna szklanka.

Pan Watkins, jeszcze przed chwilą tak gadatliwy, pograżył się w całkowitym milczeniu i tylko pykał ze swojej fajeczki, otaczając się kłębamii dymu.

W tym momencie otwarty się drzwi i do pokoju weszła młoda dziewczyna z tacą, na której stała jedna szklanka. Ta śliczna osóbką wyglądała uroczó w dużym czepku na głowie, który nosiła na modłę farmerek z Weldu. Ubrana była w prostą sukienkę z płótna w kwiecisty rzucik. Mogła mieć jakies dziewiętnaście lub dwadzieścia lat. Jej bardzo jasna cera i piękne jedwabiste blond włosy oraz wielkie niebieskie oczy sprawiały, że ta łagodna i wesoła twarzyczka była obrazem zdrowia, wdzięku i dobrego humoru.

– Dzień dobry, panie Méré! – powiedziała po francusku, choć z nieznacznym brytyjskim akcentem.

– Dzień dobry, panienko Alice! – odpowiedział Cyprien, który na jej widok wstał i skłonił się grzecznie.

– Widziałam, że pan przyszedł, panie Méré – ciągnęła miss Watkins, odsłaniając w uśmiechu swoje śliczne ząbki – a ponieważ wiem, że nie lubi pan tego wstrętnego dżinu mojego ojca, przyniosłam specjalnie dla pana oranżadę i mam nadzieję, że będzie dość orzeźwiająca.

– To zbyt wielka uprzejmość z pani strony!

– Ale, ach! Nigdy pan nie zgadnie, co dzisiaj rano połknął mój struś Dada! – opowiadała ze swobodą. – Moją piękną kulę z kości słoniowej do cerowania... Ależ tak! Kulę z kości słoniowej! I to niemałą, jak pan pamięta, panie Méré, tę samą, która pozostała po bilardzie w New Rush...! A więc ten żarłok Dada połknął ją, jakby to była jakaś pastylka! Prawdę mówiąc, ta złośliwa bestia prędzej czy później sprawi, że umrę ze zmartwienia!

Podczas tej opowieści w niebieskich oczach panny Watkins migotały wesołe iskierki, które bynajmniej nie wskazywały, by

ponura prognoza miała kiedykolwiek się spełnić. Wtem jednak z przenikliwą kobiecą intuicją zauważyła uparte milczenie ojca i młodego inżyniera, a także ich zakłopotanie z powodu jej obecności.

– Wygląda na to, że panom przeszkadzam! – powiedziała. – Skoro macie jakieś sekrety przede mną, to sobie pójdę! Zresztą i tak nie mam czasu do stracenia! Przed obiadem muszę jeszcze poćwiczyć sonatę...! Doprawdy, panowie, nie jesteście dzisiaj zbyt rozmowni! A więc zostawiam was z waszymi ciemnymi sprawkami!

Prawie już wyszła, ale jeszcze od drzwi zawróciła i z wdziękiem, choć temat był jak najbardziej poważny, dodała:

– Panie Méré, jeśli zechce mnie pan przepytać z tego, co wiem o tlenie, jestem do pana dyspozycji. Już trzy razy przeczytałam rozdział z chemii, który mi zadałeś, a ten „bezbarwny, bezwonne i pozbawiony smaku gaz” chyba nie ma już dla mnie żadnych tajemnic!

Z tymi słowami miss Watkins pięknie dygnęła i zniknęła niczym ulotny meteor.

Chwilę potem dźwięki doskonałego pianina dobiegające z jednego z najbardziej oddalonych od salonu pokoi oznajmiły, że dziewczyna całkowicie pogrążyła się w muzycznych ćwiczeniach.

– A więc, panie Watkins – podjął przerwany wątek Cyprien, któremu to urocze pojawienie się przypomniało, gdyby tylko potrafił zapomnieć, po co tu jest – czy byłby pan tak uprzejmy i udzielił odpowiedzi na prośbę, którą miałem zaszczyt panu przedstawić?

Pan Watkins wyjął fajkę z kącika ust, splunął zamasyżście na ziemię, podniósł hardo głowę i rzucając młodzieńcowi pytające spojrzenie, powiedział:

– Czy przypadkiem, panie Méré, już pan z nią o tym rozmawiał?

– O tym...? Z kim?

– O tym, co pan mi powiedział...? z moją córką.

– Za kogo pan mnie ma, panie Watkins! – wybuchnął młody inżynier tak gwałtownie, że jego szczerść nie pozostawiała żadnych wątpliwości. – Proszę nie zapominać, że jestem Francuzem...! Nigdy nie pozwoliłbym sobie rozmawiać o małżeństwie z pańską córką bez pańskiego pozwolenia!

Wyraz oczu pana Watkina złagodniał i od razu rozwiązał mu się język.

– To dobrze, mój dzielny chłopcze, to dużo lepiej...! Niczego innego nie spodziewałem się po pańskiej dyskrecji względem Alice! – odparł prawie że dobrodusznie. – A więc, skoro można panu zaufać, da mi pan teraz słowo honoru, że nigdy, również w przyszłości, nic pan jej o tym nie powie!

– Ale dlaczegoż, panie?!

– Ponieważ to małżeństwo jest absolutnie niemożliwe i będzie najlepiej, jeśli natychmiast wybije pan je sobie z głowy! – odparł pan Watkins. – Panie Méré, jest pan uczciwym młodzieńcem, doskonałym dżentelmenem, znakomitym chemikiem, wybitnym profesorem, i może nawet z wielką przyszłością – nie mam co do tego wątpliwości – ale nie będzie pan miał mojej córki, a to z tego powodu, że mam względem niej zupełnie inne plany!

– Jednakże, panie Watkins...

– Nie nalegaj pan...! To całkiem zbyteczne...! – odpowiedział farmer. – Nawet gdybyś był księciem i parem¹ Anglii, i tak byś mi nie odpowiadał! A pan nie jesteś nawet poddany an-

¹ *Par* – członek wybranej grupy lub ogółu arystokracji w niektórych krajach zachodnioeuropejskich; w Wielkiej Brytanii członek Izby Lordów.

gielskim i właśnie z całkowitą szczerością oświadczyłeś, że nie masz żadnego majątku! Doprawdy, czy rzeczywiście jesteś w stanie uwierzyć, że po to do tej pory tak chowałem Alice, dając jej najlepszych nauczycieli z Victorii¹ i Bloemfontein², aby w wieku dwudziestu lat zamieszkała w Paryżu, przy jakiejś tam ulicy de l'Université, na trzecim piętrze, z dżentelmenem, którego języka nawet nie rozumiem...? Zastanów się pan, panie Méré, i postaw się na moim miejscu...! Załóżmy, że jesteś Johnem Watkinsem, właścicielem kopalni Vandergaart Kopje, a ja panem Cyprienem Méré, młodym francuskim uczonym wysłanym z misją do Kolonii Przylądkowej...! Wyobraź sobie siebie tutaj, pośrodku tego salonu, siedzącego w tym fotelu, popijającego dżin i palącego hamburski tytoń... No, sam przyznaj, czy choć przez jedną minutę, tylko jedną...! podobałby ci się pomysł oddania mi swojej córki za żonę?

– Oczywiście, panie Watkins – odparł bez wahania Cyprien – jeśli tylko dostrzegłbym w panu zalety, które mogłyby zapewnić jej szczęście!

– Otóż nie, mój drogi, myli się pan, i to bardzo! – sprzeciwił się pan Watkins. – Postąpiłby pan jak człowiek niegodny posiadania kopalni Vandergaart Kopje, a raczej z pewnością by jej pan nie posiadał! Cóż pan sobie myślisz, że ta kopalnia sama spadła mi z nieba? Czy sądzisz pan, że nie musiałem się wykazać ani inteligencją, ani energicznym działaniem, by ją najpierw odkryć, a następnie wejść w jej posiadanie...!? Otóż nie, panie Méré, gdyż tym samym rozumem którym kierowałem

¹ *Victoria West* – miasto w Prowincji Przylądkowej Północnej, w Południowej Afryce, zamieszkane przez ok. 11 000 ludzi; może autorowi chodziło o Pretorię, stolicę administracyjną Republiki Południowej Afryki.

² *Bloemfontein* – miasto w Południowej Afryce, stolica sądownicza tego państwa, ośrodek administracyjny prowincji Wolne Państwo (do 1995 Wolne Państwo Orania), położone 1395 m n.p.m.; założone w 1846 roku.

się we wszelkich moich dotychczasowych ważnych sprawach, kieruję się we wszystkim, co dotyczy mojej córki...! Dlatego, powtarzam to panu: niech pan ją sobie wybije z głowy...! Alice nie jest dla pana!

Jakby dla podkreślenia tej ostatecznej konkluzji pan Watkins pochwyił szklankę i jednym haustem opróżnił ją do dna.

Młody inżynier, zmieszany, nie znalazł na to odpowiedzi, co widząc, jego rozmówca rozkręcał się dalej.

– Ach, wy, Francuzi, doprawdy jesteście niesamowici! – kontynuował. – Daję słowo, co za pewność siebie! Przybywasz pan do Griqualandu, jakbyś spadał z księżyca, do poczciwego człowieka, który zna cię od trzech miesięcy i nigdy wcześniej o tobie nie słyszał, a i przez te dziewięćdziesiąt dni widział cię wszystkiego z dziesięć razy! Tak więc przychodzisz sobie do niego i mówisz mu prosto z mostu: „Panie Johnie Stapleton Watkins, masz uroczą, doskonale wychowaną córkę, powszechnie uznawaną w tej okolicy za prawdziwą perłę i jeszcze całkiem przypadkiem w niczym mi nie przeszkadza, że jest jedyną spadkobierczynią największej kopalni diamentów Obu Światów¹! Ja jestem pan Cyprien Méré, inżynier z Paryża, i mam cztery tysiące osiemset franków pensji...! A więc bardzo proszę o oddanie mi tej młodej osoby za żonę, abym mógł ją zabrać do swojego kraju tak, że ojciec już o niej więcej nie usłyszy, chyba że od czasu do czasu, przez pocztę albo telegraf...!”. I wydaje się to panu zupełnie naturalne...? Ja, przeciwnie, to właśnie uważam za niesłychane!

Błady jak ściana Cyprien wstał, wziął swój kapelusz i ruszył do wyjścia.

– Dokładnie tak...! Niesłychane – powtórzył farmer. – Bez owijania niczego w bawełnę! Jestem Anglikiem starej daty, pa-

¹ *Oba Światy* – określenie obejmujące Stary Świat (Europa, Azja i Afryka) i Nowy Świat (obie Ameryki i Australia).

nie...! Jak mnie pan widzi, byłem od pana biedniejszy, tak, o wiele biedniejszy...! I czegoż ja nie robiłem...?! Byłem chłopcem okrętowym na statku handlowym, łowcą bizonów w Dakocie, górnikiem w Arizonie, pasterzem w Transwalu¹...! Zaznałem skwaru, chłodu, głodu i harówki...! Przez dwadzieścia lat w pocie czoła zarabiałem na nędzny suchar, który musiał mi starczać zamiast obiadu...! Kiedy poślubiłem nieżyjącą już panią Watkins, matkę Alice, córkę Bura², z pochodzenia Francuza³, tak jak pan, nawiasem mówiąc, nie stać nas było, by nakarmić naszą kozę! Ale nigdy nie straciłem nadziei i pracowałem... jak ja pracowałem...! Teraz, gdy stałem się bogaty, zamierzam korzystać z owoców swoich trudów...! Przede wszystkim chcę zatrzymać przy sobie córkę, by opiekowała się mną w chorobie, a wieczorami umiała mi czas muzyką, kiedy będę się nudził... Jeśli kiedykolwiek wyjdzie za mąż, to tylko tutaj, za jakiegoś miejscowego chłopca, równie bogatego jak ona sama. Za farmera lub górnika, tak jak i my, który nie będzie mi opowiadał o tym, że zabierze ją, by ledwo wiązała koniec z końcem na trzecim piętrze w kraju, w którym nigdy nie zamierzam nawet postawić stopy. Wyjdzie za mąż na przykład za Jamesa Hiltona, albo za innego faceta tego pokroju...! Zapewniam pana, że pre-

¹ *Transwal* – prowincja w północno-wschodniej części Republiki Południowej Afryki, zasiedlana najpierw przez Burów, którzy w roku 1852 utworzyli republikę Transwal, w roku 1900 zajęta przez Anglików, w 1994 podzielona na cztery mniejsze prowincje.

² *Burowie* (także *Boerowie*; w języku niderlandzkim *boer* oznacza chłopca, rolnika) – potomkowie głównie holenderskich, flamandzkich i fryzyjskich kalwinistów, niemieckich luteranów i francuskich hugenotów, którzy osiedlili się w Afryce Południowej w XVII i XVIII wieku; niewielka ich liczba miała też korzenie skandynawskie, polskie czy też portugalskie.

³ Duża liczba holenderskich Burów, czyli chłopów, w Afryce Południowej to potomkowie Francuzów, którzy po odwołaniu Edyktu nantejskiego udali się do Holandii, a następnie do Kolonii Przylądkowej [przyp. J. Verne'a].

tendentów nam nie brakuje...! Za jakiegoś uczciwego Anglika, który nie odżegnuje się od szklanki dżinu i który chętnie dotrzyma mi towarzystwa podczas palenia fajki!

Cyprien już trzymał rękę na klamce, by jak najszybciej wyjść z pokoju, w którym się dusił.

– Tylko bez urazy! – wołał jeszcze za nim pan Watkins. – Nie winię pana, panie Méré, i zawsze będę bardzo szczęśliwy, widząc cię jako lokatora i przyjaciela...! No popatrz, na dzisiejszym obiedzie spodziewamy się kilku osób, czy chcesz pan do nas dołączyć...?

– Nie, dziękuję, sir! Muszę jeszcze przygotować korespondencję, bo za godzinę odjeżdża poczta – odpowiedział chłodno Cyprien i wyszedł.

– Niesamowici są ci Francuzi, niesamowici! – powtórzył pan Watkins, odpalając kolejną fajkę od smołowego knota, który miał zawsze pod ręką, i nalał sobie dużą szklankę dżinu.



Rozdział II

Na polach diamentowych

Młodego inżyniera w odpowiedzi udzielonej mu przez pana Watkinsa najbardziej upokorzyło to, że pomimo szorstkiej formy nie mógł odmówić jej słuszności. Zastanawiając się teraz nad całą sytuacją, sam był zdziwiony, że wcześniej nie dostrzegł potencjalnych zastrzeżeń, jakie farmer może mu przedstawić, i że z tego powodu naraził się na przykrą odmowę.

Prawdą było, że do tej pory nigdy nawet nie pomyślał, że by od tej panny dzielił go jakiś dystans – czy to zamożności, czy pochodzenia, czy wykształcenia – istotny dla otaczających ich osób. Przyzwyczajony od pięciu czy sześciu lat do zajmowania się diamentami z czysto naukowego punktu widzenia, widział w nich po prostu minerały, przykłady określonej postaci węgla, godne co najwyżej wystawienia w muzeum Szkoły Górniczej. Na dodatek, ponieważ we Francji obracał się w towarzystwie na o wiele wyższym poziomie społecznym niż Watkinsowie tutaj, całkowicie umknęła mu rynkowa wartość placeru posiadanego przez farmera. Tak więc ani przez moment nie przyszło mu do głowy, że może istnieć jakakolwiek dysproporcja pomiędzy córką właściciela Vandergaart Kopje a francuskim inżynierem. Gdyby nawet podobna kwestia mu zaświtała, to bardzo prawdopodobne, że jako paryżanin i absolwent Szkoły Politechnicznej uważałby, że to raczej on znajduje się na granicy popełnienia tego, co nazywane jest powszechnie *mezaliansem*.

Bezwzględny wywód pana Watkinsa był bolesnym przebudzeniem z tych złudzeń. Cyprien posiadał dość zdrowego rozsądku, by uznać logikę solidnych argumentów, i dość uczciwości, by

nie żywić urazy za werdykt, z którym w głębi ducha się zgadzał. Ale przecież cios nie był z tego powodu mniej bolesny i teraz, kiedy musiał zrezygnować z Alice, nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo podczas tych niecałych trzech miesięcy znajomości ta dziewczyna stała mu się droga. Rzeczywiście, Cyprien Méré znał pannę zaledwie od trzech miesięcy, czyli od swojego przybycia do Griqualandu.

Lecz jakże wydawało się to dawno! Doskonale pamiętał swój przyjazd, gdy w tumanach kurzu, pod straszliwie palącym słońcem zakończył tę podróż z jednej półkuli na drugą.

Wylądował tu do spółki ze swoim przyjacielem z college'u¹ Pharamondem Barthèsem, który już po raz trzeci przyjechał, by dla własnej przyjemności polować w południowej Afryce; Cyprien rozstał się z nim w Kolonii Przylądkowej. Pharamond Barthès wyjechał następnie na tereny Basutów², gdzie zamierzał zwerbować niewielką grupę murzyńskich wojowników jako eskortę i pomoc w swoich wyprawach myśliwskich. Cyprien zaś zajął miejsce w ciężkim wozie ciągnionym przez czternaście koni, które na drogach Weldu służą tradycyjnie za dyliżanse, i wyruszył na Pola Diamentowe.

Wyposażenie młodego naukowca stanowiło pięć czy sześć dużych skrzyń – prawdziwe laboratorium chemiczne i mineralogiczne, z którym wolałby się nie rozstawać. Niestety, ponieważ na każdego podróżnego dopuszczano tylko pięćdziesiąt kilogramów bagażu, te cenne pakunki trzeba było umieścić na wózku zaprzężonym w woły, który miał je dowieźć do Griqualandu w iście merowingowskim tempie³.

¹ *College* – w krajach anglosaskich jednostka organizacyjna uniwersytetu; we Francji szkoła średnia lub wyższa.

² *Basutowie* (Basotho, Sotho Południowi) – jeden z ludów należących do grupy językowej i kulturowej Socho, zamieszkującej RPA i Lesotho.

³ *Merowingowskie tempo* – tempo z wczesnego średniowiecza, dynastia Merowingów panowała bowiem w państwie frankijskim w latach 481-751.

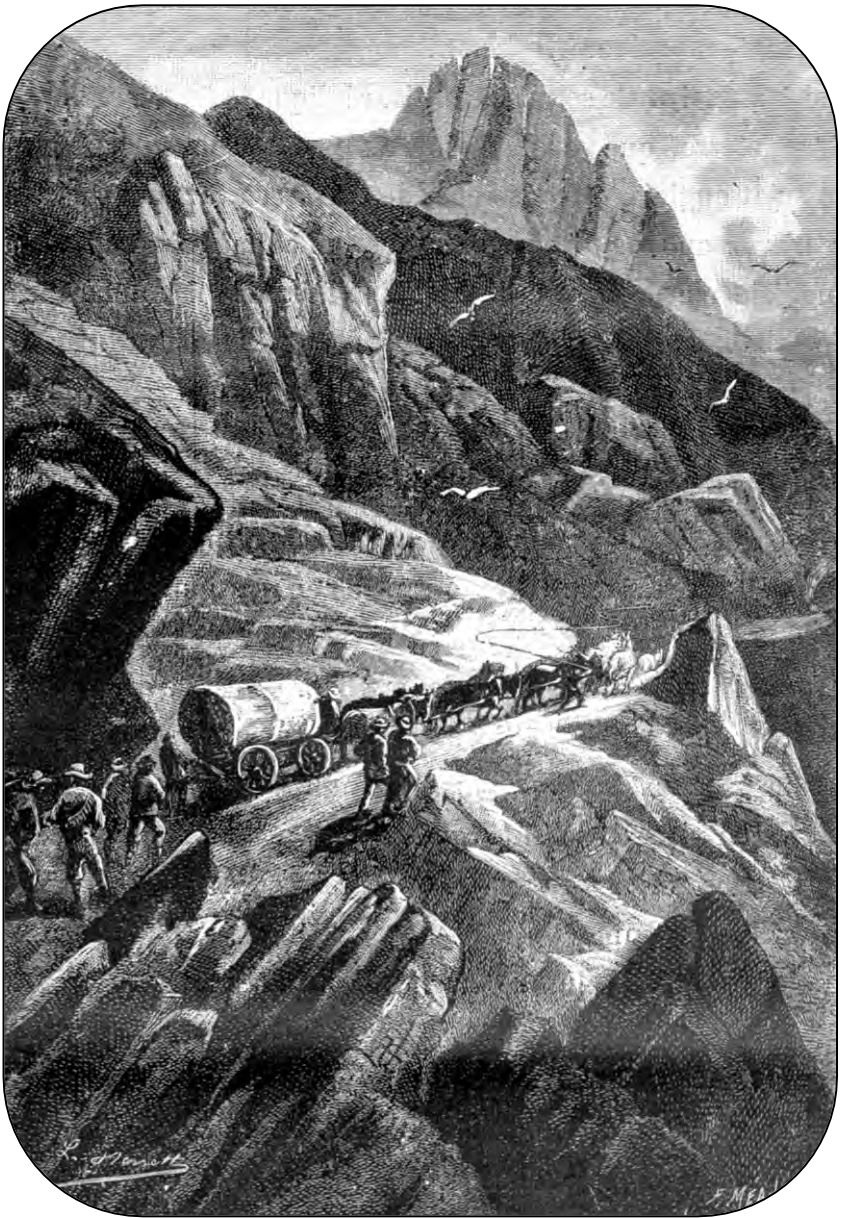
Dyliżans był po prostu wielkim wozem z dwunastoma miejscami do siedzenia, nakrytym płócienną plandeką i osadzonym na czterech ogromnych kołach, nieustannie zraszanych wodą z przekraczanych w bród rzek i rzeczulek. Konie, zaprzęgnięte parami, czasem też wspierane przez dodatkowe muły, prowadzone były z wielką wprawą przez dwóch woźniców siedzących razem na koźle. Podczas gdy jeden z nich trzymał wodze, drugi dzierżył bardzo długi bambusowy bicz, którego używał niczym gigantycznej wędki czy to do poganiania, czy też po prostu do kierowania zaprzęgiem.

Droga wiodła przez Beaufort¹, ładne miasteczko zbudowane u podnóża gór Nieuwveld, których łańcuch przecinała, by dotrzeć do Victorii, dalej do Hopetown², czyli Miasta Nadziei, nad brzegiem rzeki Oranje, i w końcu do Kimberley oraz głównych złóż diamentowych, oddalonych stamtąd zaledwie o kilka mil.

Prawie dziewięciodniowa podróż przez jałowe ziemie Weldu należała do szczególnie wyczerpujących i monottonnych. Krajobraz wokół, niezmiennie zasmucający, ograniczał się do czerwonych równin pokrytych rozrzuconymi głazami niczym jakimiś pozostałościami moren, wychylających się z ziemi szarych skał, gdzieniegdzie tylko żółtych traw i mizernych krzewów. Nie było tam ani upraw, ani pięknych widoków natury. Co jakiś czas pojawiała się nędzna farma, której właściciel z racji pozyskania

¹ *Beaufort* (obecnie Beaufort West) – miasto w Republice Południowej Afryki, w Prowincji Przylądkowej Zachodniej, założone w roku 1818, nazwane na cześć Henriego Somerseta 5. księcia Beaufort, ojca ówczesnego gubernatora Kolonii Przylądkowej Charlesa Somerseta; w roku 1869 zmieniono nazwę na Beaufort West, by nie było mylone z miastem Fort Beaufort w Prowincji Przylądkowej Wschodniej.

² *Hopetown* – miasto leżące na skraju Wielkiej Karoo w prowincji Northern Cape w Południowej Afryce, na suchym zboczu prowadzącym do rzeki Oranje; odkryto tam pierwszy diament w Afryce Południowej – diament Eureka o wadze 21,5 karata.



Droga wiodła przez Beaufort, ładne miasteczko
zbudowane u podnóża gór Nieuwveld, których łańcuch przecinała.

koncesji na ziemię od rządu kolonialnego zobowiązany był ugaszczać podróżnych. Gościnnność ta jednak ograniczała się do absolutnego minimum, gdyż w tych przygodnych gospodach nie było ani łóżek dla ludzi, ani obroku dla koni. Zaledwie po kilka puszek konserw, które objechały pół świata, nim tu dotarły, za to kosztowały na wagę złota!

Z tego wynikał prosty wniosek, że zwierzęta z zaprzęgów musiały wyżywić się same; puszczano je więc luzem na równinę, gdzie pośród kamieni szukały sobie nielicznych kępek trawy. Potem zaś, gdy przychodziło do odjazdu, tracono masę czasu na odnalezienie ich i ponowne wprzęgnięcie do wozu.

A jakież potworne wstrząsy musieli znosić biedni podróżni w tym prymitywnym pojeździe na jeszcze prymitywniejszych drogach! Za siedziska służyły im po prostu wierzchy drewnianych kufrów na podręczny bagaż, na których siedzący przez długi tydzień nieszczęśnik obijał się o kanty niczym młot pneumatyczny. Nie dało się ani czytać, ani spać, ani nawet rozmawiać! Na domiar złego większość podróżnych dniami i nocami kopciła tytoń niczym kominy fabryczne, piła do utraty przytomności i sfluwała na potęgę wszędzie gdzie popadło.

Cyprien Méré znalazł się więc w grupie nader reprezentatywnej dla populacji wszelkiej maści obieżyświatów, którzy natchmiast na wieść o odkryciu złóż pędzą na złamanie karku ze wszystkich możliwych punktów ziemskiego globu do złoto- czy diamentonośnych działek. Był tam więc wysoki jak tyka, kołyszający się na boki neapolitańczyk z długimi czarnymi włosami, pergaminową twarzą i niespokojnymi oczami, przedstawiający się jako Annibal Pantalacci. Ekspert od diamentów, portugalski Żyd imieniem Nathan, siedzący zazwyczaj cicho w swoim kącie i spoglądający na ludzkość okiem filozofa. Górnik z Lancashire Thomas Steel, wysoki gość z rudą brodą i o krzepkiej posturze,

który porzucił kopanie węgla, by spróbować szczęścia w Griqualandzie. Niemiec, *herr* Friedel, który na temat diamentów wypowiedział się niczym wyrocznia, nigdy w życiu nie widząc ani jednego diamentu w naturalnej postaci. Był i Jankes¹ o wąskich wargach, przemawiający wyłącznie do skórzanego bukłaka, bez wątpienia udający się na diamentowe pola wraz z koncesją na wyszynk, by otworzyć tam jedną z tych spelunek, w których rozpływa się lwia część górniczych dochodów. Farmer znad rzeki Harts², Bur z Wolnego Państwa Oranje, handlarz kością słońcowa zmierzający do kraju Namaqua³. Dwóch kolonistów z Transwalu i Chińczyk o imieniu Li – jak przystało na Chińczyka – dopełniali tego pokątnego towarzystwa, najhałaśliwszej, najbardziej niechlujnej i różnorodnej kompanii, z jaką kiedykolwiek mógłby mieć do czynienia przyzwoity człowiek.

Cyprien, początkowo śledzący z rozbawieniem ich fizjonomie i maniery, szybko się nimi znudził. Interesowali go jeszcze tylko Thomas Steel z jego żywiołową naturą i szerokim uśmiechem oraz Chińczyk Li o miękkich, wręcz kocich ruchach.

¹ *Jankes* (ang. *Yankee* lub *Yank*) – określenie Amerykanina o wielu znaczeniach; czasem ma zabarwienie negatywne i często odnosi się do mieszkańców północnej części USA; początkowo stosowano je wobec mieszkańców Nowej Anglii; w czasie wojny secesyjnej i wiele lat po niej używane przez mieszkańców Południa wobec ludzi z Północy, po I wojnie światowej wobec wszystkich Amerykanów.

² *Rzeka Harts* – u J. Verne'a: Hart, północny dopływ rzeki Vaal, która z kolei jest największym dopływem rzeki Oranje; jej źródło znajduje się w prowincji Północno-Zachodniej, ale większa część basenu znajduje się w prowincji Przylądek Północny, do której wpada kilka kilometrów w dół rzeki od tamy Taungl dł. 320 km.

³ *Namaqua* (Namaqualand) – region geograficzny w Republice Południowej Afryki i Namibii, rozciągający się wzdłuż atlantyckiego wybrzeża obu krajów, na długości blisko 1000 km; powierzchnia wynosi ok. 440 000 km²; kraińę dzieli dolny bieg rzeki Oranje – wyróżnia się południowoafrykański Little Namaqualand na południu i namibijski Great Namaqualand na północy; rzeka stanowi także granicę pomiędzy oboma krajami.

Jeśli chodzi o neapolitańczyka z gębą wisielca, jego paskudne żarty wzbudzały w młodym Francuzie nieprzewyżnione uczucie wstrętu.

Przez dwa lub trzy początkowe dni podróży najbardziej bawiło tego typu przyczepianie do warkocza, który zgodnie ze zwyczajem swojej nacji Chińczyk nosił przerzucony na plecy, mnóstwa niestosownych przedmiotów – a to kępek trawy, to kapuścianego głąba, krowiego ogona, a nawet i końskiej łopatki, znalezionej gdzieś na tym pustkowiu.

Li niewzruszenie odczepiał wszystko, co dyndało u jego długiego warkocza, nie okazując ani słowem, ani najmniejszym gestem, ani nawet spojrzeniem, że te żarty wydają mu się przekraczać dopuszczalne granice. Jego żółta twarz i małe skośne oczka zachowywały niezmacony spokój, jakby wszystko, co się wokół niego działo, zupełnie go nie dotyczyło. Prawdę powiedziawszy, można by sądzić, że nie rozumiał ani słowa z rozmów toczonych w tej arce Noego toczącej się do Griqualandu.

Tym bardziej więc Annibal Pantalacci pozwalał sobie wygłaszać swoją słabą angielszczyznę komentarze pod adresem Chińczyka, zresztą na równie niskim poziomie jak rzekome żarciki.

„Jak myślisz, czy jego żółtaczka jest zaraźliwa?” zapytał głośno sąsiada.

Albo:

„Ach, gdybym tylko miał nożyczki, żeby odciąć mu ten jego warkocz, zobaczylibyście, jak by wyglądał!”

Więc podróżni się śmiali. A jeszcze bardziej ich bawiło, że obecni w wozie Burowie zwykle potrzebowali nieco więcej czasu na zrozumienie neapolitańczyka. Dlatego wybuchali nagle hałaśliwą wesołością ni stąd, ni zowąd, w jakieś dwie lub trzy minuty po wszystkich pozostałych.



Dwóch kolonistów z Transwalu i Chińczyk o imieniu Li – jak przystało na Chińczyka – dopełniali tego pokątnego towarzystwa.

W końcu Cyprien, zirytowany uporczywością, z jaką Pantalacci walił w biednego Li niczym w bęben, powiedział mu, że jego zachowanie jest karygodne. Tamten wyraźnie zamierzał się bezczelnie odszczeknąć, ale wystarczyło jedno słowo Thomasa Steela, by przezornie zachował dla siebie swój sarkazm.

– Nie! Doprawdy to nie fair dokuczać tak temu biedakowi, który nawet nie rozumie, co pan mówi! – wtrącił się poczciwy górnik, wyraźnie zażenowany, że jeszcze przed chwilą śmiał się z pozostałymi.

Na tym więc sprawa się skończyła, jednak w chwilę potem Cyprien z zaskoczeniem poczuł bystre i nieco ironiczne spojrzenie Chińczyka, w którym wyrażała się wdzięczność. Przyszło mu wówczas na myśl, że być może Li rozumie o wiele lepiej po angielsku, niż to okazywał.

Jednak na próżno podczas następnego postoju Cyprien próbował nawiązać z nim rozmowę. Chińczyk pozostawał niewzruszony i milczący. Odtąd ten tajemniczy osobnik nie przestawał intrygować młodego inżyniera niczym enigma¹, którą należało rozwiązać. Od tego czasu Cyprien coraz częściej uważnie przyglądał się tej żółtej, bezwłosej twarzy, wąskim, szerokim ustom jak po cięciu szabli, w których błyskały bardzo białe zęby, płaskiemu, szerokiemu nosowi i szerokiemu czołu, a przede wszystkim skośnym oczom, wiecznie spuszczoneym, zupełnie jakby dla ukrycia ich przenikliwego spojrzenia.

Ile lat mógł mieć Li? Piętnaście czy sześćdziesiąt? Nie dało się tego powiedzieć. Jeśli jego zęby, oczy, czarne jak sadza włosy nadawały mu dość młody wygląd, to z kolei bruzdy na czole, policzkach, a nawet ustach zdawały się wskazywać na bardziej zaawansowany wiek. Był niski, szczupły, na oko bardzo zwinny, ale było w nim coś staromodnego, by nie powiedzieć – zniewieściałego.

¹ *Enigma* – zagadka, tajemnica.

Był bogaty czy biedny? Znowu pytanie bez odpowiedzi. Jego szare lniane spodnie, żółta bluza z fularu¹, czapeczka upleciona ze sznurka, buty z filcowymi podeszwami założone na nieskazitelnie białe pończochy równie dobrze mogłyby należeć do pierwszorzędneho mandaryna, jak i do człowieka z gminu. Jego bagaż składał się z jednej pomalowanej na czerwony kolor drewnianej skrzynki, z wypisanym na niej czarnym atramentem następującym adresem:

H. Li
from Canton to the Cape

co znaczyło: H. Li, z Kantonu, w drodze do Kolonii Przylądkowej.

Nawiasem mówiąc, Chińczyk był wprost maniakiem czystości; nie palił, pił wyłącznie wodę, a każdy postój skrzętnie wykorzystywał, aby z największą starannością golić sobie głowę.

Cyprien nie zdołał ustalić niczego więcej i wkrótce zrezygnował z zajmowania się tą żywą zagadką.

Tymczasem mijały dni, a wraz z nimi kolejne etapy podróży, mila za milą. Czasami konie ciągnęły jak szatany, a innym razem wydawało się, że nie ma takiej siły, która zmusiłaby je do przyspieszenia. Jednak krok po kroku droga miała się ku końcowi i pewnego pięknego dnia wóz dotarł do Hopetown. Jeszcze tylko ostatni odcinek podróży i minęli Kimberley. Następnie na horyzoncie zamajaczyły już drewniane chałupy. Było to New Rush.

Tamtejsze obozowisko górników prawie nie różniło się od podobnych sobie tymczasowych osad na całym świecie, które powstają w czasach naszej cywilizacji niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

¹ *Fular* – tu: tkanina jedwabna, z której szyje się chustki na szyję, szale, krawaty.

W większości osada składała się z drewnianych bud raczej małych rozmiarów, trochę na wzór robotniczych baraków na europejskich placach budowy. Było tam też kilka namiotów, z tuzin knajp, czy raczej jadłodajni, jedna sala bilardowa, sala taneczna o szumnej nazwie „Alhambra” oraz sklepy, a dokładniej składy podstawowych produktów – to przynajmniej rzucało się w oczy.

W owych sklepach znajdowało się po prostu wszystko: ubrania, meble, obuwie, szyby do okien, książki i siodła, broń i sprzęty, miotły i amunicja myśliwska, koce i cygara, świeże warzywa i lekarstwa, pług i mydła toaletowe, szczotki do paznokci i skondensowane mleko, patelnie i litografie – cóż, rzeczywiście było tam w zasadzie wszystko prócz... kupujących!

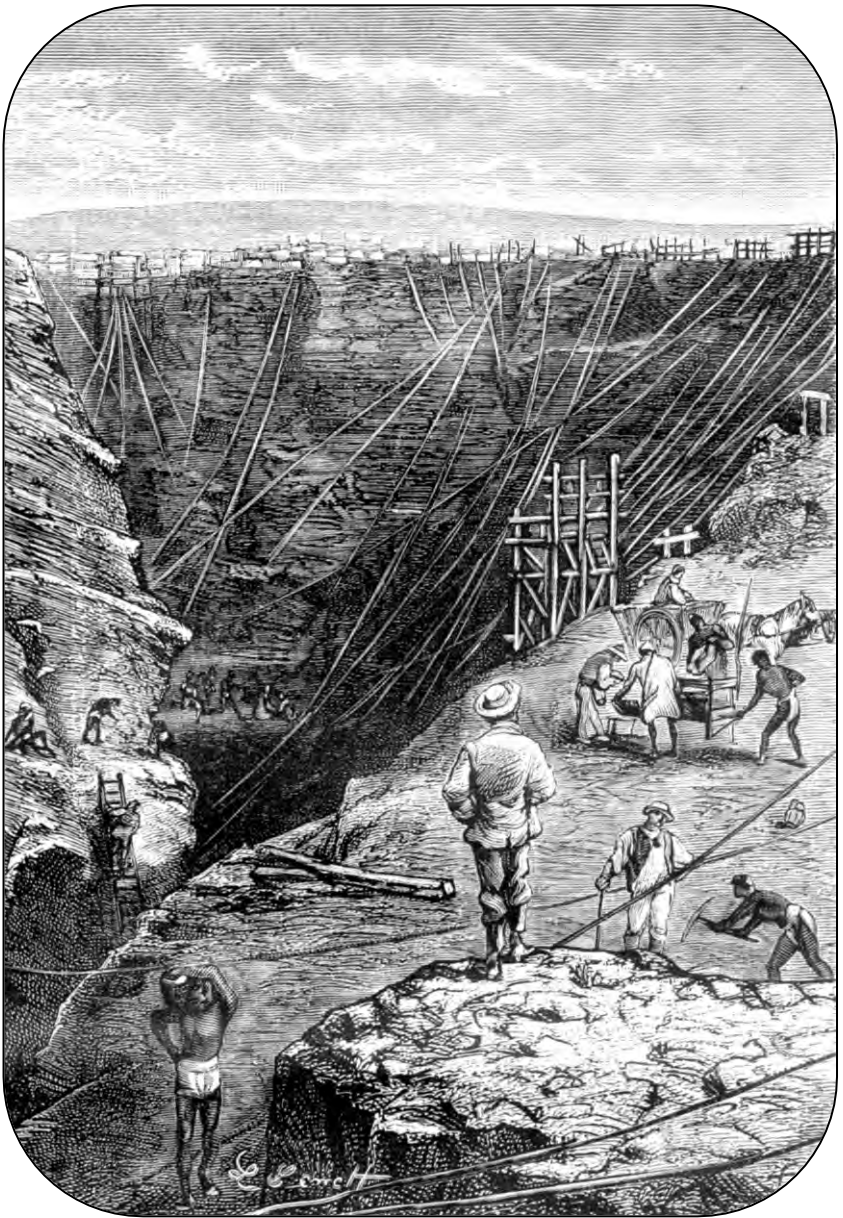
Z pewnością tylko dlatego, że o tej porze populacja obozu wciąż pracowała w kopalni, o jakieś trzysta czy czterysta jardów¹ od New Rush.

Cyprien Méré, jak wszyscy nowo przybyli, jak najszybciej pragnął poznać osadę, podczas gdy w efekciarsko udekorowanej chacie zwanej pompatycznie „Hotelem Continental” przygotowywano kolację.

Było około szóstej po południu. Słońce na horyzoncie otaczało się już delikatną mgielką w kolorze złota. Młody inżynier ponownie zwrócił uwagę na olbrzymią średnicę dziennej gwiazdy – zresztą tak samo jak i nocnej – na tych szerokościach geograficznych południowych, choć nie poznano jeszcze dokładnego wyjaśnienia tego zjawiska. Średnica ta zdawała się co najmniej dwa razy większa niż w Europie.

Tymczasem jednak w Kopje, czyli w samym złożu diamentów, Cypriena oczekiwali zgoła nowe wrażenia i widoki.

¹ *Jard* (yard) – miara długości, używana w krajach anglosaskich, równa 0,9144 m.



Ale teraz było to ogromne zagłębienie o mocno nachylonych ścianach, coś w rodzaju eliptycznego cyrku.

Na samym początku prac kopalnia wyglądała niczym niski kopiec, który nagle wybrzuszał się na idealnej wprost równinie, rozciągającej się wokół jak okiem sięgnąć i płaskiej na wzór morza w czasie ciszy. Ale teraz było to ogromne zagłębienie o mocno nachylonych ścianach, coś w rodzaju eliptycznego cyrku¹ o powierzchni około czterdziestu metrów kwadratowych², dziurawiącego ziemię w tym miejscu. Obszar ten obejmował co najmniej trzysta lub czterysta tak zwanych *claims*³, czyli koncesji, każda o bokach długości trzydziestu jeden stóp, które właściciele eksploatowali według własnego uznania.

Zasadniczo całe zadanie tutaj polegało na wydobywaniu za pomocą kilofa i motyki porcji ziemi, która zazwyczaj składała się z czerwonego piasku zmieszanego ze żwirem. Następnie ziemię przewożono na skraj kopalni, gdzie na stołach sortowniczych była przemywana, tłuczona, przesiewana, a na koniec z największą starannością przeglądana, czy aby nie znajdują się w niej drogocenne kamienie.

Wszystkie te *claims*, wydrążone niezależnie od siebie, w naturalny sposób tworzą doły o różnej głębokości. Niektóre schodzą na sto i więcej metrów pod ziemię, inne tylko na piętnaście, dwadzieścia lub trzydzieści.

Ze względu na komunikację pomiędzy działkami każdy z kopczy zobowiązywał się w ramach umowy do pozostawienia po jednej stronie swojego wykopu całkowicie nienaruszonej ziemi o szerokości siedmiu stóp. Pas ten, o równej szerokości u wszystkich, tworzył coś w rodzaj jezdni lub grobli na pierwotnym poziomie terenu. W poprzek tej drogi ułożono dREW-

¹ *Cyrk* – tu w nawiązaniu do cyrku górskiego: głęboka dziura, wokół której amfiteatralnie piętrzą się zbocza.

² Poniżej podano, że każda działka miała ok. 100 m², więc powinno być: czterdzieści tysięcy m².

³ *Claim* – w Ameryce i Australii fragment przyznanego gruntu czy lasu, działka.

niane kłody, wystające z każdej strony na jakiś metr, co dawało wystarczającą szerokość, by minęły się tam dwa wózki.

Na nieszczęście dla wytrzymałości tej wiszącej drogi i dla bezpieczeństwa samych górników kopacze, schodząc w głąb ziemi, uparcie drażą podnóża ścian, tak że ten szlak komunikacyjny miejscami zwisał nad przepaścią dwukrotnie głębszą niż wieża paryskiej Notre-Dame¹, a wykop przybierał formę odwróconej piramidy spoczywającej na swym czubku. Konsekwencje tego szkodliwego zwyczaju były łatwe do przewidzenia. Podbierane od dołu ściany często się zawały albo podczas deszczu, albo przy gwałtownych zmianach temperatury, powodujących pęknięcia w ziemi. Jednak nawet te cyklicznie powracające katastrofy nie przeszkadzały lekkomyślnym górnikom w dalszym drażeniu swoich *claims* aż granicznych ścian.

Cyprien Méré, zbliżając się do kopalni, najpierw dostrzegł tylko mrowie wózków, czy to pustych, czy to załadowanych, które przemieszczały się po tych wiszących szlakach. Kiedy był już na tyle blisko krawędzi, by zajrzeć w głąb tego swego rodzaju olbrzymiego kamieniołomu, ujrzał tłum górników wszystkich ras, barw skóry, w najdziwniejszych strojach, gorliwie pracujących w głębinach *claims*. Byli tam Murzyni i biali, Europejczycy i Afrykanie, Mongołowie i Celtowie, a wszyscy prawie nadzy lub ubrani zaledwie w lniane, przewiewne spodnie, flanelowe koszule, albo bawełniane przepaski na biodrach, za to każdy miał obowiązkowo na głowie słomkowy kapelusz, często ozdobiony strusimi piórami.

Wszyscy ci mężczyźni napelniali ziemią skórzane wiadra, które następnie wyciągano na wierzch kopalni na długich linach ze skręconego żelaza za pomocą sznurów wykonanych z paszków bydłowej skóry, nawiniętych na drewniane bębny o przezro-

¹ Frontowe wieże katedry Notre Dame w Paryżu są wysokie na 69 m.

czystej konstrukcji. Tam zawartość wiader szybko przesypany do wózków, po czym kubły natychmiast wracały na dno, aby za moment znów wznieść się w górę z nowym ładunkiem.

Te długie żelazne liny porozciągane ukośnie ponad prostopadłościanami drążonych *claims* nadają *dry diggins*, czyli odkrywcowym kopalniom diamentów, osobliwy wygląd. Przypominają bowiem nici jakiejś gigantycznej pajęczej sieci, której tworzenie zostało raptownie wstrzymane.

Cyprien przez chwilę zabawiał się, kontemplując z zaciekawieniem owo ludzkie mrowisko, po czym wrócił do New Rush, gdzie wkrótce rozległ się dzwonek wzywający na hotelową kolację. Tam przez cały wieczór wysłuchiwał niekończących się opowieści o cudownych znaleziskach, o górnikach biednych jak Job¹, wzbogacających się przez jeden diament, albo przeciwnie – lamentów nad „pechem”, drapieżnością pośredników, wiarołomstwem Kafrów² zatrudnionych w kopalni, którzy kradli najpiękniejsze kamienie. Poruszano też tematy stricte techniczne, ale tak czy inaczej rozmawiano wyłącznie o diamentach, karatach³ i setkach funtów szterlingów⁴.

W sumie jednak całe to ludzkie zbiorowisko przedstawiało się dosyć nędznie, a na jednego szczęśliwego *diggera*⁵, który gło-

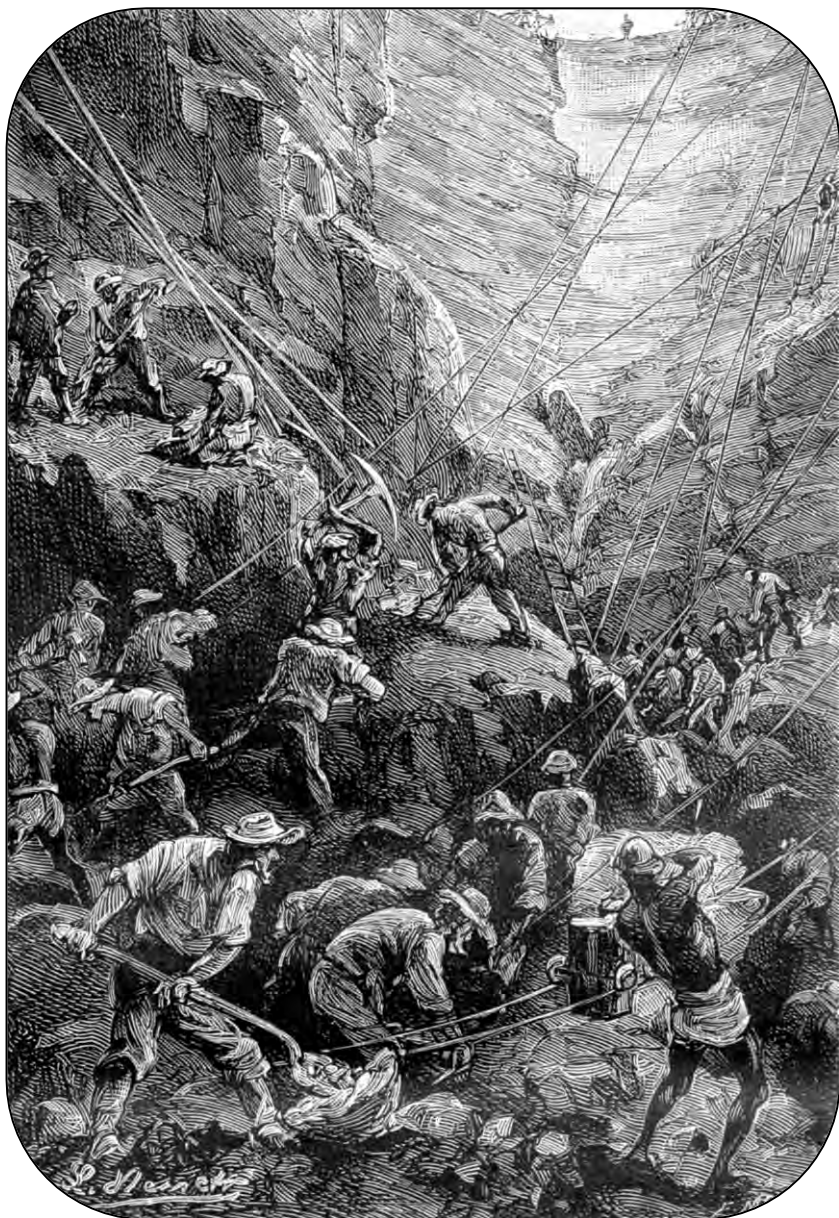
¹ *Job* (Hiob) – bohater biblijnej Księgi Hioba, człowiek bogaty i szczęśliwy, pozbawiony całego mienia przez Boga, chcącego wypróbować jego pobożność; ponownie odzyskuje majątek i zdrowie.

² *Kafrowie* – nazwa ludów Bantu zamieszkujących południową i wschodnią część Afryki; nadana przez Arabów, rozpowszechniona w zachodniej literaturze i historiografii od czasów wojen kolonialnych prowadzonych przez Burów i Anglików z ludami Zulu-Kosa (XVIII-XIX wiek) na obecnym terytorium RPA.

³ *Karat* – jednostka masy stosowana w obrocie kamieniami szlachetnymi i perłami, równa 0,2052 grama.

⁴ *Funt szterling* – jednostka monetarna w Wielkiej Brytanii; dawniej dzielił się na 20 szylingów i 240 pensów.

⁵ *Digger* (ang.) – kopacz, poszukiwacz, badacz.



Wszyscy ci mężczyźni napełniali ziemią skórzane wiadra, które następnie wyciągano na wierzch kopalni na długich linach ze skręconego żelaza.

śno wołał o butelkę szampana, aby oblać swój sukces, można było zobaczyć dwadzieścia ponurych gąb, do których zasmuceni właściciele wlewali cienkie piwsko.

Czasami z rąk do rąk przechodził wokół stołu kamień, który ważono w dłoniach, oglądano i szacowano, aż w końcu wracał, by nabić kabzę jego posiadacza. Ten szarawy i matowy kamyk, pozbawiony blasku bardziej nawet niż kawałek zwykłego krzemienia toczony nurtem potoku, był właśnie diamentem w swojej naturalnej postaci.

Z nadejściem nocy zapełniały się szynki, i znów te same rozmowy, te same dyskusje, którymi zabawiano się podczas kolacji, toczyły się w najlepsze, tym razem przy szklankach z dżinem i brandy.

Cyprien położył się wcześniej spać w przydzielonym mu łóżku w namiocie w pobliżu hotelu. Zasnął tam wkrótce przy dźwiękach zabawy pod gołym niebem, jaką urządzili sobie kafryjscy kopacze, a także przy przejmujących dźwiękach kornetu, który w pobliskiej sali nadawał ton tanecznym wygibasom białych panów.



Rozdział III

Nieco wiadomości naukowych podczas przyjacielskiej pogawędki

Spieszymy zapewnić, że młody inżynier nie przyjechał do Griqualandu, aby spędzać czas w kłębach tytoniowego dymu, w atmosferze pijaństwa i pazerności. Powierzono mu prowadzenie badań topograficznych i geologicznych w niektórych rejonach tej okolicy, miał więc pobierać próbki skał i gleby diamentonośnej oraz od razu na miejscu przeprowadzać ich analizy chemiczne. Po pierwsze więc musiał zacząć od zapewnienia sobie spokojnego mieszkania, w którym mógłby urządzić odpowiednie laboratorium i które służyłoby mu w pewnym sensie za bazę wypadową w jego poszukiwaniach prowadzonych w całym tutejszym okręgu górniczym.

Wzniesienie, na którym stała farma Watkinsów, szybko zwróciło jego uwagę jako punkt doskonale odpowiadający wszystkim jego potrzebom. Znajdowało się bowiem dostatecznie daleko od górniczego obozowiska, by nie doskwierał mu nieustanny hałas osady, a równocześnie stamtąd Cyprien miałby tylko jakąś godzinę marszu do najdalej położonych działek, gdyż diamentonośne pole nie miało więcej niż dziesięć do dwunastu kilometrów w obwodzie. Wybranie jednego z opuszczonych przez Johna Watkina domów, wynegocjowanie jego dzierżawy z właścicielem, a w końcu samo wprowadzenie się do nowego lokum – wszystko to okazało się dla młodego inżyniera sprawą na pół dnia. W sumie właściciel farmy okazał się przyjaźnie nastawiony, a jako że bardzo się nudził, przebywając głównie w samot-

ności, z prawdziwą przyjemnością przyjął tego młodego człowieka, mogącego wnieść pewne urozmaicenie w jego życie.

Ale jeśli pan Watkins liczył na znalezienie w swoim lokatorze kompana do stołu, czy raczej do dzbanka z dżinem, to nie mógł się bardziej pomylić. Cyprien – zaledwie wprowadził się do opuszczonej chaty ze wszystkimi swoimi retortami, palnikami i odczynnikami, i jeszcze nawet nim dotarli na miejsce swojego przeznaczenia główne części jego laboratorium – już rozpoczął geologiczne wędrówki po okolicy. Również wieczorem, gdy wracał do domu na ostatnich nogach, targając na grzbiecie ocynkowane pudło wypełnione okruchami skalnymi, a prócz tego kamienie wypełniały mu jeszcze torbę, kieszenie, a nawet kapelusz... miał raczej ochotę rzucić się na łóżko i natychmiast zasnąć, niż wysłuchiwać oklepanych historyjek pana Watkina. Poza tym prawie nie palił, a jeszcze mniej pił, wszystko to więc w niczym nie przypominało rozrywkowego kompana, jakiego wymarzył sobie farmer.

Niemniej jednak Cyprien był tak porządny i dobry, tak prostolinijny w zachowaniu i uczuciach, tak mądry, a równocześnie skromny, że po prostu nie dało się z nim dłużej obcować bez polubienia go. Pan Watkins – który być może nawet nie zdawał sobie z tego sprawy – odczuwał dla młodego inżyniera większy szacunek niż kiedykolwiek dla kogokolwiek. „Ach! Gdybyż tylko ten chłopak potrafił pić! Co można zrobić z człowiekiem, który w życiu nie łyknął kropli dżinu?!”. Tak to sobie regularnie rozmyślał o swoim lokatorze właściciel farmy.

Co do miss Watkins, ta od razu szczerze zaprzyjaźniła się z młodym naukowcem. Dostrzegając w nim świetne manierę i z całą pewnością intelektualną wyższość, z którą nie miała okazji się spotykać w zwykłym dla siebie środowisku, skwapliwie skorzystała z nieoczekiwanej gratki, jaka się jej nada-

rzyła, aby uzupełnić wiadomości, zwłaszcza z chemii doświadczalnej, gdyż dotychczas całą swą dość zróżnicowaną wiedzę czerpała wyłącznie z lektury dzieł naukowych.

Bardzo zainteresowało ją laboratorium młodego inżyniera, z mnóstwem dziwaczych przyrządów. Szczególnie ciekawiło ją wszystko, co dotyczyło natury diamentu. Tak właśnie, tego szlachetnego kamienia, który w jej ojczyźnie odgrywał najważniejszą rolę zarówno w rozmowach, jak i w handlu. Prawdę mówiąc, Alice była raczej skłonna uważać ten klejnot za taki sobie, nawet niespecjalnie ładny kamyk. Cyprien – czego nie mogła nie zauważyć – żywił w tym względzie identyczną pogardę. Tak więc na tym gruncie wspólnoty przekonań szybko zawiązała się pomiędzy nimi przyjaźń. Można śmiało zaryzykować tezę, że w całym Griqualandzie byli jedynymi, którzy nie podzielali powszechnego wierzenia, że wyłącznym życiowym celem powinno być poszukiwanie, szlifowanie i sprzedawanie owych małych kamyków, tak żarliwie pożądanym na całym świecie.

– Diament – powiedział pewnego dnia młody inżynier – jest po prostu jedną z postaci czystego węgla. To tylko skryształizowany węgiel, nic więcej. Można nim palić jak zwykłym paliwem,

i to właśnie ta cecha, łatwopalność, doprowadziła do odkrycia jego prawdziwej natury. Newton¹, który był wielkim obserwatorem, zauważył, że oszlifowany diament załamuje światło bardziej niż jakiegokolwiek inne przezroczyste ciało. Wiedział, że cecha ta jest charakterystyczna dla większości substancji palnych,

¹ Isaac Newton, sir (1643-1727) – angielski fizyk, matematyk, filozof i astronom; w roku 1687 opublikował pracę *Philosophiae naturalis principia mathematica*, w której sformułował podstawy fizyki klasycznej i przedstawił ich zastosowanie w zagadnieniach mechaniki, astronomii i fizyki; sformułował prawo powszechnego ciążenia, wyjaśnił precesję osi Ziemi i pływ morza, uzasadnił prawa Keplera; w optyce opracował korpuskularną teorię budowy światła, określił zasady optyki geometrycznej.

ze zwykłą więc dla siebie śmiałością wyprowadził z tego faktu wniosek, że diament „musi” być palny. A doświadczenie pokazało, że miał rację.

– Ależ, panie Méré! Skoro diament jest tylko węglem, dlaczego tak drogo się go sprzedaje? – zapytała dziewczyna.

– Ponieważ jest nadzwyczaj rzadki, panno Alice – odparł Cyprien – i w naturze występuje w bardzo małych ilościach. Przez długi czas diamenty przywożono wyłącznie z Indii, Brazylii oraz z wyspy Borneo. Pani z całą pewnością musi pamiętać, bo miała wtedy siedem lub osiem lat, gdy po raz pierwszy potwierdzono obecność diamentów na tym obszarze Afryki Południowej.

– Ależ oczywiście, że pamiętam! – zawołała panna Watkins. – W Griqualandzie wówczas wszyscy poszaleli! Widziało się wyłącznie ludzi uzbrojonych w łopaty i kilofy, ryjących ziemię gdzie popadnie, zmieniających bieg strumieni, by zbadać ich łóżyska, śniących o diamentach, rozmawiających od rana do wieczora o diamentach! Choć byłam wtedy całkiem mała, zapewniam, że czasami nawet dla mnie była to przesada, panie Méré! Ale mówił pan, że diament dlatego jest tak drogi, bo rzadko występuje... Czy to jego jedyna zaleta?

– Nie, nie do końca, miss Watkins. Jego przezroczystość, jego blask, gdy jest już oszlifowany w taki sposób, aby załamywał światło, zresztą trud, jaki trzeba włożyć w wyszlifowanie go, no i wielka jego twardość sprawiają, że jest to ciało naprawdę nader interesujące dla badacza, a dodam, że i nadzwyczaj przydatne w przemyśle. Czy wie pani, że można go polerować wyłącznie jego własnym pyłem i to właśnie ta cenna cecha sprawiła, że od kilku lat stosuje się go podczas przewiercania skał. Bez pomocy tego klejnociku nie tylko bardzo trudno byłoby obrabiać szkło, ale i wiele innych twardych substancji, a wierce-

nie tuneli, kopalnianych chodników, studni artezyjskich byłoby znacznie trudniejsze!

– Teraz rozumiem – powiedziała Alice, która nagle odczuła pewien respekt dla tych nieszczęsnych diamentów, którymi do tej pory tak gardziła. – Jednakże, panie Méré, ten węgiel w stanie krystalicznym, z którego, jak pan twierdzi, zrobiony jest diament – czy tak? Czy dobrze mówię? Ten węgiel, co to właściwie jest?

– To niemetale, jeden z pierwiastków najbardziej rozpowszechnionych w naturze – odpowiedział Cyprien. – Wszystkie związki organiczne bez wyjątku: drewno, mięso, chleb, trawa... zawierają znaczne ilości tego pierwiastka. Zresztą właśnie dzięki zawartości węgla, *carbonu*, w poszczególnych substancjach, potrafimy określać ich wzajemne powiązania i pochodzenie.

– Co za dziwna rzecz! – stwierdziła miss Watkins. – Więc te krzaki tutaj, trawa na tamtym pastwisku, drzewo, które nas chroni przed słońcem, ciało mojego strusia Dady i ja, i pan, panie Méré, czy też jesteśmy w jakimś stopniu zbudowani z węgla... jak diamenty? Więc wszystko na tym świecie jest węglem?

– Na Boga, panno Alice! Nauka przeczuwała to już od dłuższego czasu, ale współcześnie coraz łatwiej jest to wykazać! Lub, ujmując to lepiej, obecnie nauka ma tendencję do coraz większego redukcjonowania liczby podstawowych pierwiastków, wcześniej uważanej za sakramentalną. Jednak metody badań spektroskopowych rzuciły pod tym względem, i to całkiem niedawno, zupełnie nowe światło na chemię. Również sześćdziesiąt dwie substancje klasyfikowane do tej pory jako podstawowe lub fundamentalne, jakkolwiek to może śmieszne, mogły być tylko różnymi postaciami atomowymi jednej substancji, na przykład wodorem o różnych potencjałach elektrycznych, odmiennej dynamice czy kaloryczności!

– Och! przeraża mnie pan, panie Méré, tymi wszystkimi trudnymi pojęciami! – zawołała panna Watkins. – Porozmawiaj ze mną raczej o węglu! Czy nie moglibyście wy, chemicy, skryształizować go tak, jak to się robi z siarką, z której kiedyś pokazywał mi pan takie ładne igły? Byłoby to przecież o wiele wygodniejsze niż kopanie dziur w ziemi w celu znalezienia diamentów!

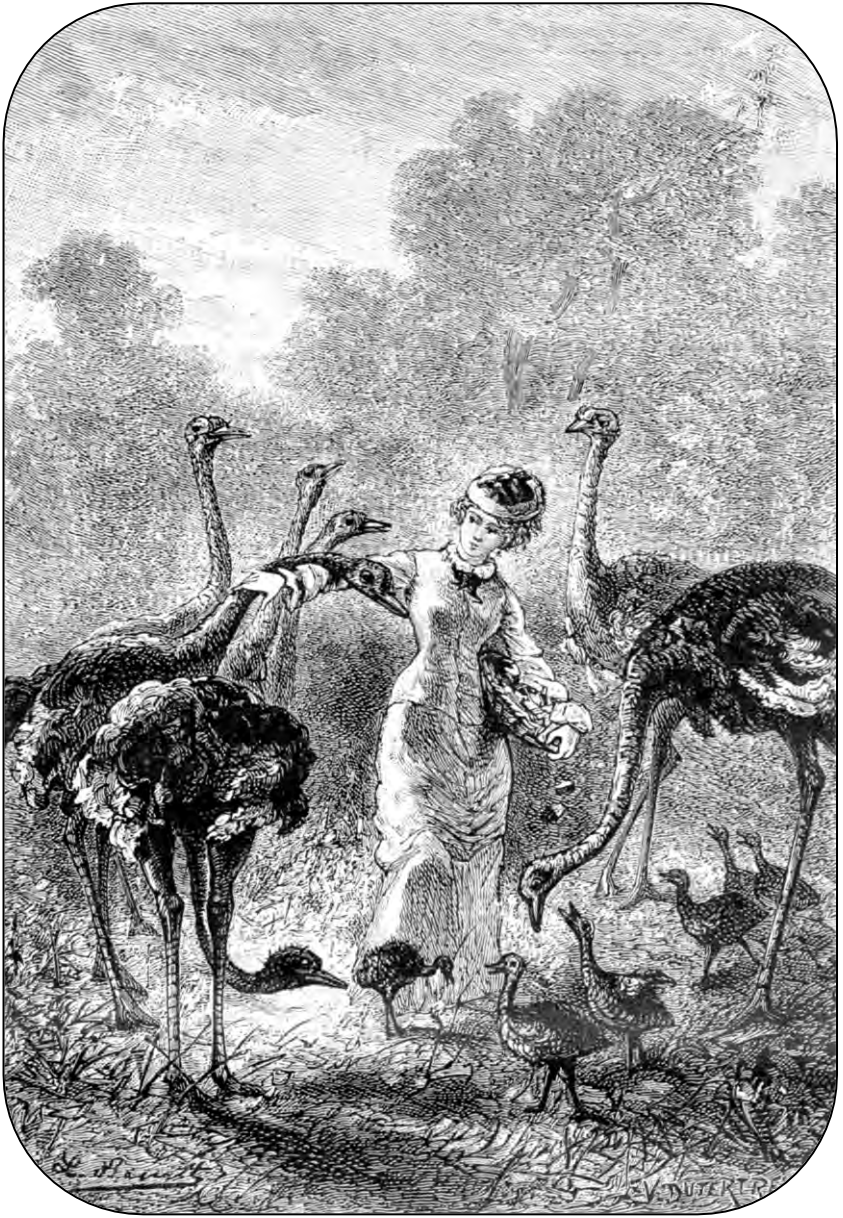
– Wiele razy próbowano osiągnąć to, o czym pani mówi – odrzekł Cyprien – i usiłowano wyprodukować sztuczny diament na drodze krystalizacji czystego węgla. Muszę dodać, że w pewnym stopniu to się nawet udało. W 1853 roku niejaki Despretz¹, a całkiem niedawno w Anglii inny naukowiec uzyskał diamentowy pył, działając bardzo silnym prądem elektrycznym w próżni na cylindry węglowe, wcześniej oczyszczone ze wszelkich substancji mineralnych, a wykonane z cukru kandyzowanego². Jednak jak dotąd problem ten nie znalazł rozwiązania przemysłowego. Możliwe zresztą, że obecnie to tylko kwestia czasu i nawet z dnia na dzień, a może nawet w tej chwili, gdy sobie tak rozmawiamy, miss Watkins, ktoś właśnie wymyślił technologię otrzymywania diamentów!

Tak to sobie gawędzili, spacerując po wysypanym piaskiem tarasie, który ciągnął się wzdłuż zabudowań farmy, a czasem znów wieczorami, gdy siedzieli na ażurowej werandzie, obserwując migoczące na południowym niebie gwiazdy.

Potem Alice zostawiała młodego inżyniera i sama wracała na farmę albo zabierała go ze sobą w odwiedzinę do swojego

¹ César-Mansuète *Despretz* (1791-1863) – chemik i fizyk pochodzenia belgijskiego, od 1838 obywatel Francji; od roku 1837 adiunkt fizyki na Wydziale Nauk w Paryżu, od 1847 profesor zwyczajny; autor rozpraw z zakresu fizyki i chemii, zajmował się krystalizacją węgla, prowadził liczne eksperymenty, zwłaszcza dotyczące przewodnictwa cieplnego ciał stałych i cieczy.

² Cukier, jako węglowodan, posiada w swej budowie cząsteczki węgla.



Od roku czy dwóch hodowała te ptaszyska niczym domowy drób
i miała prawdziwy kurnik tych szczudłonogich gigantów.

strusiego stadka trzymanego w zagrodzie u stóp wzgórza, na którym stała aktualna siedziba Johna Watkina. Pannę bawiły ich małe, białe główki wznoszące się ponad czarnym tułowiem, duże, sztywne nogi i pióropusze żółtawych piór zdobiące ogony. Od roku czy dwóch hodowała te ptaszyska niczym domowy drób i miała prawdziwy kurnik tych szczudłonogich gigantów.

Zwykle nie udomawia się tych ptaków, a farmerzy z Kolonii Przyładkowej pozwalają im żyć w stanie półdzikim. Zadawają się trzymaniem ich w ogromnych zagrodach okolonych wysokimi płotami z miedzianego drutu, podobnymi do tych, które w niektórych krajach stawia się wzdłuż linii kolejowych. Strusie, nieprzystosowane do lotu, nie potrafią przekroczyć wysokich ogrodzeń. Żyją więc w zagrodzie jak rok długi, nawet nie wiedząc, że znajdują się w niewoli, żywiąc się tym, co znajdują na rozległej przestrzeni i szukając odległych zakątków do składania jaj, chronionych przed rabusiami surowymi prawami. Jeśli zaś chodzi o obdzieranie ich z upragnionych przez Europejki piór, następuje to dopiero w okresie pierzenia się ptaków. Naganiasze stopniowo wpędzają strusie w szereg coraz ciasniej stojących ogrodzeń, aż do momentu, gdy łatwo je złapać i wyrwać im z ogona pióra.

Przemysł ten od kilku lat rozwija się w okolicach Przyładka bardzo obiecująco i aż dziwne, że na przykład w takiej Algierii, gdzie byłby równie owocny, zupełnie się nie przyjął. Każdy struś trzymany w tej częściowej niewoli przynosi swemu właścicielowi, bez jakichkolwiek nakładów, roczny dochód wahający się od dwustu do trzystu franków. Aby to pojąć, wystarczy wiedzieć, że duże pióro dobrej jakości sprzedaje się za sześćdziesiąt do osiemdziesięciu franków – zgodnie z aktualnymi cenami na rynku, a i średnie, i małe pióra również posiadają sporą wartość. Tymczasem panna Watkins trzymała tuzin tych wielkich

ptaków wyłącznie dla własnej rozrywki. Z przyjemnością obserwowała, jak z ogromnych jaj wykluwają się młode, bawiło ją też gdy w porze karmienia na wzór domowego ptactwa, niczym jakieś kury lub indyki, biegły do niej na złamanie karku wraz z pisklakami. Czasem towarzyszył jej Cyprien i chętnie głośko najładniejszego ze stada strusia o czarnej głowie i złotych oczach, dokładnie tego samego pupilka Dade, który dopiero co połknął kulę z kości słoniowej używaną przez Alice do cerowania.

Stopniowo jednak Cyprien poczuł, że w stosunku do młodej dziewczyny rodzi się w nim coś głębszego i czulszego. Począł rozumieć, że nigdy nie znajdzie innej towarzyszki, która potrafiłaby dzielić z nim życie wypełnione pracą i rozmyślaniami, o lepszym sercu, żywszej inteligencji, sympatyczniejszej czy w ogóle doskonalszej pod jakimkolwiek względem... Rzeźczywiście, miss Watkins, od bardzo młodego wieku pozbawiona matki i w związku z tym zobowiązana do prowadzenia ojcowskiego domu, była już wytrawną gospodynią, ale i prawdziwą światową damą. Zresztą chyba właśnie to szczególne pomieszczenie doskonałej dystynkcji z pociągającą prostotą nadawało jej dodatkowego uroku. Bezpretensjonalna, w przeciwieństwie do większości młodych elegantek w Europie, nie bała się zanurzyć białych rączek w cieście, by przygotować pudding¹, nadzorować gotowania obiadu czy przeglądać domową pościel... Wszystko to bynajmniej nie przeszkadzało jej w graniu sonat Beethovena² równie dobrze, a może nawet lepiej niż wielu innych wykonawców, w biegłym posługiwaniu się dwoma lub

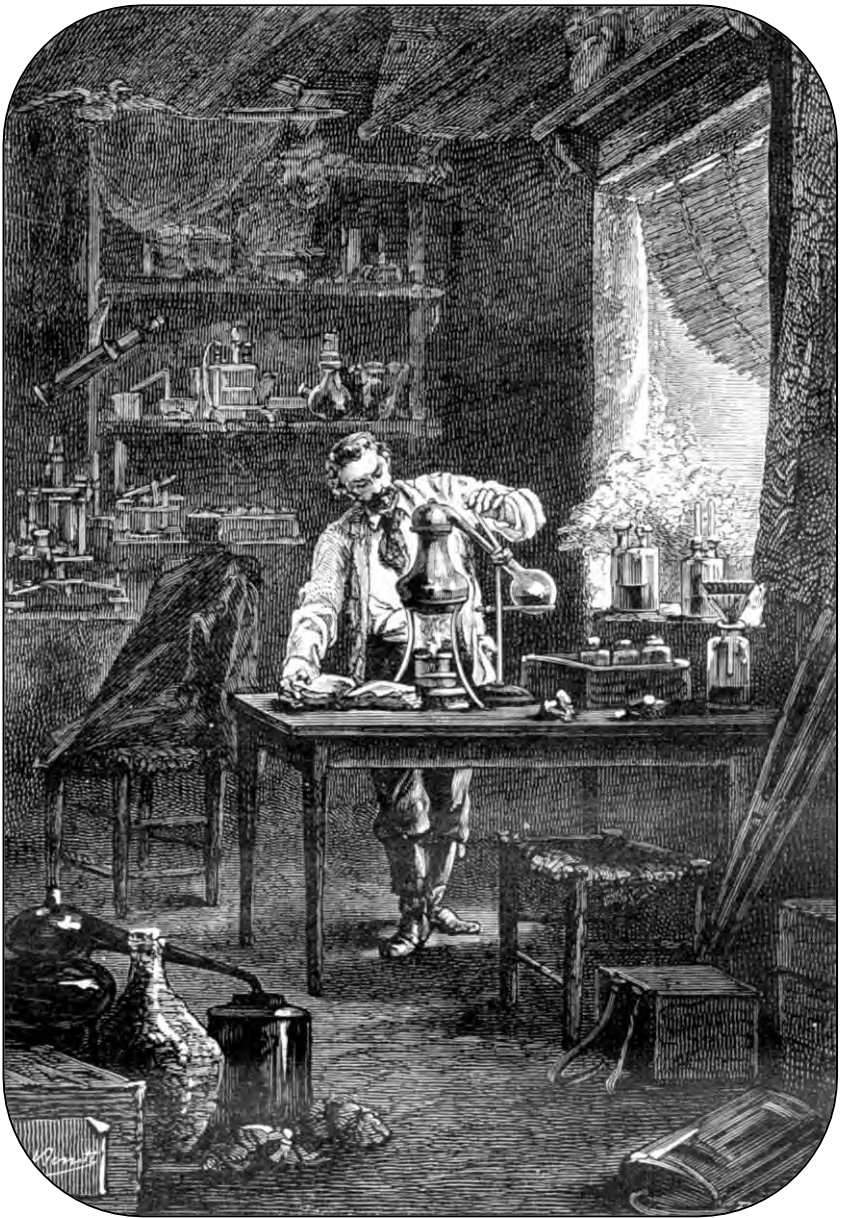
¹ *Pudding* – potrawa kuchni angielskiej o konsystencji stałego lub kremowego budyniu, przyrządzana zwykle z mąki, mleka, jaj, ryżu, kaszy manny, mięsa, ryb, tłuszczu, z dodatkiem przypraw; gotowana na parze lub pieczona.

² Ludwíg van *Beethoven* (1770-1827) – niemiecki kompozytor i pianista działający w Wiedniu, prekursor romantyzmu, jeden z największych geniuszy w dziejach muzyki.

trzema językami, zamiłowaniu do czytania, a potrafiła docenić arcydzieła światowej literatury, i w końcu w brylowaniu na spotkaniach towarzyskich w domach okolicznych farmerów.

A przecież z całą pewnością na tych przyjęciach nie brakowało wybitnych i dystygowanych kobiet. W Transwalu, podobnie jak w Ameryce, w Australii i we wszystkich nowo odkrywanych krainach, gdzie materialne wysiłki wprowadzania cywilizacji pochłaniają całą aktywność mężczyzn, kultura, rozwój intelektualny stanowią o wiele bardziej niż w Europie prawie wyłączny monopol kobiet. Te bardzo często przewyższają swoich mężów i synów pod względem ogólnego wykształcenia i wyrafinowania artystycznego. Wszystkim podróżnikom nie bez pewnego zaskoczenia zdarzało się napotykać na przykład w żonie australijskiego górnika czy trapera z Far Westu¹ talent muzyczny pierwszej klasy do spółki z obszerną wiedzą literacką czy naukową. Córka gałganiarza z Omahy albo rzeźnika z Melbourne zarumieniłaby się ze wstydu na myśl, że w wykształceniu, manierach czy też innego rodzaju „osiągnięciach” miałyby ustępować księżniczkom ze starej Europy. W Wolnym Państwie Oranje, gdzie od dawna edukacja dziewcząt była identyczna jak chłopców, a gdzie ci drudzy zbyt wcześnie opuszczają szkolne ławki, ten intelektualny kontrast pomiędzy płciami jest jeszcze bardziej widoczny niż gdziekolwiek indziej. Mężczyzna w gospodarstwie domowym to *bread winner*, zdobywca chleba. Tak więc musi zachować całą swoją wrodzoną szorstkość i wszystkie nawyki oraz umiejętność życia pod gołym niebem, pełnego trudów i niebezpieczeństw. Przeciwnie, jego żona oprócz obowiązków domowych bierze za swoją domenę

¹ *Far West* (ang. Daleki Zachód) – w XIX i na początku XX wieku określenie zachodniej części Stanów Zjednoczonych, zajmowanej przez osadników; w języku polskim częściej stosowana jest nazwa „Dziki Zachód”.



Był zdecydowany walczyć, a tymczasem oddając się pracy,
zapomnieć o smutkach.

kultywowanie sztuki i literatury, którymi jej mąż gardzi lub je zaniedbuje.

I tym sposobem okazuje się, że na skraju pustyni nagle rozkwita kwiat piękna, dystynkcji i nieprzebranego uroku. Tak właśnie było w przypadku córki farmera Johna Watkina.

Cyprien wiedział to wszystko, a ponieważ był człowiekiem czynu, nie zawahał się pójść do ojca panny i przedstawić mu swoją prośbę.

Niestety! Teraz spadł z obłoków na ziemię i po raz pierwszy wyraźnie dostrzegł prawie nieprzekraczalną przepaść, która oddzielała go od Alice. Tak więc po tym rozstrzygającym spotkaniu wrócił do domu z ciężkim sercem. Nie należał jednak do ludzi, którzy popadają w próżną rozpacz. Był zdecydowany walczyć, a tymczasem oddając się pracy, zapomnieć o smutkach.

Dlatego po powrocie na swoją kwaterę młody inżynier zasiadł szybko przy stoliku, aby prędkim i zdecydowanym piśmem dokończyć długi i poufny list, który rozpoczął tego ranka, zaadresowany do jego mentora, czcigodnego pana J..., członka Akademii Nauk i profesora zwyczajnego Szkoły Górniczej.

...Czego nie chciałem umieszczać w swoim oficjalnym sprawozdaniu, gdyż z mojego punktu widzenia to wciąż tylko hipoteza, to moje osobiste przekonanie na podstawie obserwacji geologicznych dotyczące prawdziwego sposobu powstawania diamentów. Nie satysfakcjonuje mnie – podobnie jak i Pana, Mistrzu, i nie muszę tu przypominać powodów, dla których je odrzucamy – ani hipoteza o wulkanicznym pochodzeniu, ani ta, która przypisuje ich pojawianie się w końcowych osadach działaniu gwałtownych nawałnic. Powstanie diamentu na miejscu poprzez działanie ognia jest również wyjaśnieniem zbyt mglistym, i również mnie nie zadowala. Jaka miałyby być natu-

ra tego rzekomego ognia i w jaki niby sposób mógłby nie oddziaływać równocześnie na wszelkiego rodzaju wapienie, zwykle występujące w diamentonośnych złożach? Teoria ta wydaje mi się wręcz dziecinna, podobnie jak teoria wirów¹ lub atomów haczykowatych².

Jedynym wyjaśnieniem, które mnie satysfakcjonuje, jeśli nie do końca, to przynajmniej do pewnego stopnia, jest pomysł, że to woda transportuje składowe klejnotu, a następnie sam kryształ formuje się na miejscu. Uderza mnie szczególnie, niemal jednolity profil różnorodnych złóż, które miałem okazję dokładnie obejrzeć i z największą starannością wymierzyć. Wszystkie posiadają mniej więcej ten sam kształt, stanowią coś na wzór naczynia czy kapsuły, a uwzględniając pokrywającą je skorupę, to najbardziej przypominają myśliwską manierkę leżącą na boku. To trochę jak zbiornik o powierzchni trzydziestu lub czterdziestu tysięcy metrów sześciennych, do którego spłynęłaby mieszanina piasku, błota i mułów aluwialnych, położony na pierwotnych skałach³. Ta właśnie forma jest szczególnie widoczna w złożu Vandergaart Kopje, jednym z ostatnio odkrytych, które nawiasem mówiąc, należy do właściciela domu, z którego właśnie do Pana piszę.

¹ *Teoria wirów* – zapewne chodzi o prace Henriego Poincarégo na temat „równowagi obracającego się ciała płynnego”; istnieje również zapis wykładów Poincarégo prowadzonych podczas II semestru w roku 1891/1892 na Uniwersytecie Paryskim, tak właśnie zatytułowany: *Théorie des tourbillons*.

² *Atomy haczykowane* – pojęcie zaczerpnięte z teorii atomistycznej Demokryta: „Atomy są jednakowe ze względu na tworzywo materialne, różnią się natomiast między sobą kształtem i wielkością (*schema, rymos*); mogą być okrągłe, kanciaste, ostro zakończone, haczykowane, mogą być mniejsze, większe”.

³ *Skały pierwotne* – skały krystaliczne pochodzące z najstarszych epok geologicznych.

Cóż się dzieje, gdy do kapsuły wlewamy płyn zawierający w zawieszynie ciała obce? Otóż to, że te ciała obce osadzają się dokładnie na dnie oraz wokół krawędzi kapsuły. I to właśnie ma miejsce w Kopje. Diamenty znajdują się tam przede wszystkim na samym dnie pośrodku niecki oraz na jej obrzeżach. Fakt ten jest tak powszechnie znany, że gdy tylko zostaje ostatecznie ustalony kształt złoza, natychmiast zmieniają się ceny poszczególnych działek, a więc wartość wszystkich leżących pomiędzy tymi miejscami spada do najniższych cen, podczas gdy koncesje na działki położone pośrodku oraz na obrzeżach dochodzą do zawrotnej wartości. Tak więc na zasadzie analogii możemy wysnuć wniosek na korzyść transportu materiału przez wodę.

Z drugiej strony wiele danych, które znajdzie Pan w moim sprawozdaniu, wskazuje raczej na formowanie się kryształów na miejscu, a nie na ich transport w ostatecznej formie. Powtórzę więc, że zazwyczaj diamenty występują w grupach po dwa lub trzy ze sobą połączone, o tej samej naturze i tym samym kolorze, co z pewnością nie miałyby miejsca, gdyby zostały przyniesione przez wody potoku. Często spotykane połączone ze sobą dwa diamenty odrywają się od siebie przy najmniejszym uderzeniu. Jak wobec tego miałyby się oprzeć tarcii i gwałtownym uderzeniom podczas wodnego transportu? Ponadto duże okazy diamentów prawie zawsze znajdują się pod osłoną skały, co wskazywałoby, że istnieje jakiś wpływ tej skały – jej promieniowanie cieplne lub jakaś inna przyczyna – ułatwiająca krystalizację. Wreszcie rzadko, a nawet bardzo rzadko występują razem skupiska dużych i małych diamentów. Ilekroć zostaje odkryty jakiś naprawdę

piękny kamień, zawsze pozostaje w izolacji. Wygląda to więc, jakby wszystkie adamantynowe¹ składniki siedlińska zostały skupione razem w jednym okazałym kryształ pod wpływem jakichś określonych przyczyn.

Tak więc te fakty, jak i wiele innych skłaniają mnie ku teorii o transporcie wodnym pierwiastków potrzebnych do krystalizacji klejnotu, który jednakże powstaje już na miejscu samego złoża.

Skąd jednak biorą się wody, które niosą ze sobą organiczne drobiny zamieniające się następnie w diamenty? Niestety, to jest to, czego nie udało mi się ustalić pomimo bardzo skrupulatnych oględzin, jakie przeprowadziłem na różnych terenach.

W rzeczywistości odkrycie takie miałyby niebagatelne znaczenie. Gdyby udało się odtworzyć trasę, jaką przebyły diamentonośne wody, moglibyśmy łatwo, poruszając się w górę ich biegu, dotrzeć do początkowego punktu, z którego materiał ten pochodzi. Do miejsca, gdzie niewątpliwie znajduje się ich znacznie większa ilość niż w obecnie eksploatowanych złożach. Byłoby to praktyczne potwierdzenie mojej teorii, z czego niezmiernie bym się ucieszył, jednakże nie do mnie już będzie należało przeprowadzenie tego dowodu. W tej chwili bowiem moja misja dobiega kresu, a mnie nie udało się sformułować w tym zakresie żadnych poważnych wniosków.

Największe sukcesy odniosłem w analizach chemicznych tutejszych skał...

¹ *Adamantynowy* – pseudołaciński neologizm pochodzący od wyrazu „adamant”; przymiotnik „adamantynowy” w języku angielskim stosuje się w odniesieniu do rzeczy nie do zdobycia, diamentowej twardości lub opisywania bardzo zdecydowanej i nieugiętej postawy; tu więc oznacza składniki diamentu.

W dalszym ciągu młody inżynier, kontynuując list, zagłębił się w szczegóły techniczne prowadzonych przez siebie prac, które niewątpliwie były równie interesujące dla niego, jak i dla jego korespondenta, jednakże co do których nieobeznany w dziedzinie Czytelnik mógłby mieć odmienne zdanie. Dlatego podarujemy sobie ciąg dalszy tej epistoły.

Dopiero o północy, po skończeniu długiego listu, Cyprien zgasił lampę, wyciągnął się w hamaku i zasnął snem sprawiedliwego.

Przynajmniej na kilka godzin praca pozwoliła mu zapomnieć o smutku – ale przecież podczas snu młodego człowieka nawiedziła urocza zjawa i wydawało mu się, że mówiła, by jeszcze nie tracił nadziei!



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!